Nr. 28. Warszawa, dnia 28 Czerwca (10 Lipca) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWY KURS.

Cesarz Wilhelm II, bawiący w końcu czerwca w Kiel, podpisał nominacyę p. Bülowa, posła przy dworze kwirynalskim, na tymczasowego zastępcę p. Marschalla von Biberstein, sekretarza do spraw zagranicznych rzeszy niemieckiej, zastępstwo to motywując nadwątlonem zdrowiem zasłużonego męża. W kilka dni później d. 1 lipca, *Reichsanzeiger* przyniósł dalsze zmiany wśród najwyższych urzędników państwa niemiecko-pruskiego: na miejsce Boettichera sekretarzem spraw wewnętrznych rzeszy został hr. Wehner-Posadowsky, dotychczasowy jej podskarbi, a vice-prezesem ministeryum pruskiego — zasiadający w niem już jako minister skarbu i nadal na tym urzędzie utrzymany, p. Miquel, były komunista, socyalista, demokrata, narodowiec, narodowy liberał, wreszcie prezydent Frankfurtu n. M., poseł na sejmy i specyalista od skarbowości i skarbowego porządku. Po zmarłym Stephanie, wielkim specyaliście w pocztowości, nastaje generał-major od huzarów i prezes komisyi wystawy transwalskiej, von Podbielski, syn owego von Podbielskiego, którego nazwisko zdobiło stale w r. 1870 buletyny zwycięzkie z Francyi. P. Posadowsky, jako skarbowiec, niema jeszcze następcy. Nadwątlone zdrowie p. Marschalla kąpielowcy badeńscy wyczuwają z jego wcale rumianych policzków, a zdanie powszechne, bez różnicy zasad i apetytów, owo tymczasowe zastępstwo za stałe już uznaje następstwo.

Po ludziach nowych przyjdą jeszcze nowsi, gdy na jesieni okaże się, że i ks. Hohenlohe ma już silnie nadwątlone zdrowie i urząd skarbowy rzeszy będzie musiał nareszcie otrzymać zawiadowcę. Do rzędu „nowych“ policzyć trzeba i wice-admirała, Tirpitza, który również z początku był tylko „tymczasowym zastępcą“ Hollmana, a zaledwie zawitał do Europy z mórz południowych, cesarz Wilhelm ministeryalną stopę jego na twardym gruncie postawił. Od faktu nominacyi niepodobna odłączyć innego, który słusznie zwrócił na siebie uwagę. Ks. Hohenlohe ze świeżo upieczonym sekretarzem do spraw zagranicznych pojechał natychmiast po nominacyi do Friedrichsruhe; nikt o politycznej doniosłości tych odwiedzin nie wątpi. P. Bernard Bülow jest dla Bismarcka *persona grata*; kierunek, jakiego się po nim spodziewać można, znajduje uznanie żelaznego kanclerza: a ten dodatni nastrój pustelnika z Sachsenwaldu tem większą powinien mieć wagę, że przy zmianie kanclerza, liczącego już 78 rok życia, obecny sekretarz wystąpi w pierwszym rzędzie kandydatów do kanclerstwa. Samo już zadowolenie z dymisyi Boettichera i Marschalla musiałoby uczynić miłem Bismarckowi i nowe posunięcie na szachownicy i nowe pionki.

Są zatem już ludzie nowi; czy są i nowe zasady, nowe polityczne prądy — nowy kurs? Nie potrzeba pytać o to, co ci „nowi“ z sobą i w sobie przynoszą. Prawdopodobnie nic przynoszą nic. Istotnem może być tylko pytanie: do czego nowego przychodzą? Nie oni zrobią nową politykę: nowa polityka zrobiła ich. Cesarz Wilhelm zmienia znowu kurs. Na widnokrąg z po nad lasów Sachsenwaldu, jak czerwony księżyc w pełni, wschodzi oblicze Bismarcka: w polityce wewnętrznej większa sprężystość, lepsze dokręcanie śrub państwowych przytrzymujących społeczeństwo; w polityce zagranicznej, w trójprzymierzu, przewaga woli i dążeń niemieckich nad wolą i dążeniami wspólnemi wszystkich trzech sprzymierzonych; we wszystkiem przeważający pruski charakter. Radość agraryuszów, Limburg-Stirumów, Mirbachów, z upadku Marschalla zapowiada reakcyę w cłach i traktatach handlowych. Przyjęcie prawa o stowarzyszeniach przez Izbę panów, z przewidywanem zatwierdzeniem przez Izbę poselską wróży powrót do prawodawstwa bismarkowskiego. Rola ojca chrzestnego, odegrana przez żelaznego kanclerza przy nowej zmianie, pozwala domniemywać się i w polityce zagranicznej tej *die scharfere Tonart*, bez której niema ani samego Bismarcka, ani bismarkizmu. W południowych Niemczech cała zmiana sprawia wrażenie jakiegoś wybuchu oparów pruskich.

Całymi cebrami przelewa prasa niemiecka z pustego w próżne, aby wyjaśnić znaczenie zmiany. Nikt nic nie wie: co się dzieje teraz w głowie cesarza Wilhelma i jaka jest siła ciążenia jego do Bismarcka; o czem mówili pp. Bülow i Hohenlohe we Friedrichsruhe; co myśli kanclerz o swojem kanclerstwie; jakie są stosunki teraźniejsze z Austryą i zamiary na przyszłość? W komentarzu, dodanym do nominacyi przez *Dresdener Neueste Nachrichten*, znajdujemy poważniejsze, niż gdzieindziej fakta i domniemania. W rozmowie z p. Bülowem Bismarck poruszył sprawę rozporządzeń językowych w Czechach: w nich to właśnie widzi dowód ostygnięcia trójprzymierza, a w szczególności Austryi, która je wydała. Niemcy muszą tę utratę ciepłika wynagrodzić sobie zbliżeniem się do Petersburga. Za miesiąc cesarz Wilhelm będzie mógł tego swobodnie dokonać. W polityce wewnętrznej Wilhelm II zbliżył się do poglądów exkanclerza i z tego już stanowiska rozmawiali pp. Hohenlohe i Bülow z Bismarckiem we Friedrichsruhe o zadaniach polityki wewnętrznej w zakresie rozmaitych stosunków społeczno-politycznych. „Ks. Bismarck — kończy dziennik — został radcą radców koronnych“ — zatem nie może

być dalekim od cesarza. W polityce wewnętrznej nowy kurs zdążać musi do zachowawczości; w zewnętrznej—do wskrzeszenia systemu reasekuracyi, której Caprivi w r. 1890 odnowić nie chciał. Wizyta p. Bülowa u p. Gołuchowskiego w Schönbrunn nie daje wskazania przeciwnego. Jest to prosta grzeczność.

Tydzień polityczny. Turcy żądają teraz już znowu 4 mil. funtów i całej dolnej Tempe nad Peneiosem. Teraz też dopiero przyszła im myśl zajęcia wewnątrz pasa neutralnego Kalabaki: dokonali tego z rozlewem krwi, bo ludność się opierała. Niewracającym do opuszczonych siedzib Edhem konfiskuje majątki. Zatokę Ambrakijską (Arta) inżenierya turecka umacnia. Żołnierze grożą buntem w razie zwrócenia Tessalii Grekom, a tessalskie Kuco-Wołochy — wielka narodowość europejska — błagają Europę, aby ich nie wydawała na pastwę Grecyi. Oczywiście, obie te roboty są rządowo-tureckie. W Stambule wielki wezyr opóźnia prace konferencyi, która już 10 odbyła posiedzeń, przez niesłychaną oporność i ustawiczne wyśliźgiwanie się ze zobowiązań. Zamierzone przeniesienie p. Nelidowa do Rzymu nie przyspieszy sprawy pokoju. Dyplomacyi nie pilno.

Na Krecie wojsko europejskie zajęło Hierapetrę. Ludność czeka ciągle statutu, samorządu i gubernatora. Numa Droz, prezes międzynarodowej komisyi transportów kolejowych, postawił warunki, które kandydaturę jego usunęły. Wypierają się też sięgania po godność gubernatorską obaj Bonapartyści. Wiktor Ludwik i Ludwik Napoleon. Na samorząd jeszcze Kreta poczeka.

Izba francuska 447 głosami przeciwko 29 uchwaliła d. 5 b. m. pół miliona franków na podróż Faure'a do Peterhofu.

Komisya panamska Izby deputowanych przypomniała sobie, że istnieje i zażądała od p. Darlana, ministra sprawiedliwości, wszystkich akt procesu Lessepsa i wspólników, a przy nich i Artona. Minister ma coś do zatajenia, bo okazał niechęć. P. Pourquery de Boisseré, niegdyś prokurator, odmawia świadectwa. Zadaniem komisyi jest sprawdzenie poszlak przeciw deputowanym i senatorom i ewentualne zakwalifikowanie pod sąd.

Ugoda czesko-niemiecka wcale się jeszcze nie pości.

W Prusiech prawo o stowarzyszeniach, uchwalone ostatecznie po 3-tygodniowym konstytucyjnym namyśle, z Izby panów wyszło jako młot na socyalizm. Izba deputowanych utrzyma ten jego charakter. Rząd nie będzie miał wszystkiego, po co sięgał, ale jeśli tylko dostał prawo administracyjnego rozwiązywania stowarzyszeń, pokryje mu ono niedobór w innych nadziejach. Sejm niemiecki od 2 tygodni już wypoczywa. Cesarza w Kielu odwiedził król belgijski. Ks. Hohenlohe i Bülow złożyli wizytę Bismarckowi. O nominacyach nowych w artykule wstępnym.

W Belgii wybuchnął spór konstytucyjny o manifestacyę z d. 13 czerwca za powszechną służbą wojskową. Król trzymał z manifestantami. Przeciwnicy reformy, przeważnie klerykałał, przypierają prezesa gabinetu, Smeet de Naer'a, do muru, aby zganił postępek króla jako niekonstytucyjny i wytykają mu niepodanie się do dymisyi, jakby konstytucyjność nakazywała. Może mają słuszność — ale nie w oporze przeciwko reformie, którą same stosunki międzypaństwowe narzucają. Tutaj są filistrami i upartymi głąbami zachowawczości.

Dzienniki francuskie za podróżą króla Leopolda węszą zaprzedanie się Niemcom.

Konfederacya Transwalu z Oranje zaraz po uroczystościach londyńskich zacznie działać na Anglików jako ferment wyskokowy. Uprzejme powinszowanie z Pretoryi nie usunie zaproszenia z Londynu do wojennego tańca.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRACOWNICY KOLEI NADWIŚLAŃSKIEJ.

Dnia 13 lipca r. b. kolej Nadwiślańska przechodzi na rzecz skarbu. Chwila ta ma doniosłe znaczenie dla wielu setek pracowników, gdyż jednocześnie ze skupem rozstrzygną się ich losy. Zachwianie bytu kilku, a może nawet kilkunastu setek urzędników i oficyalistów, czyli kilku tysięcy osób, przez nich utrzymywanych, jest już ważną kwestyą społeczną, która w szerszem życiu dotkliwe ślady pozostawi. Zjawisko tem wszakże jest ważniejsze, że nie dotyczy jedynie kolei Nadwiślańskiej. W ciągu kilku lat już druga linia w Królestwie przechodzi na rzecz skarbu. To samo czeka i Wiedeńską, która daje pracę tysiącom ludzi. Ze zmianą właściciela musi nastąpić zmiana gospodarki, zwinięcie pewnych wydziałów i biur skutkiem scentralizowania zarządu, a więc konieczne zmniejszenie liczby pracowników. Prócz tego nowy gospodarz wprowadza zwykle nowych ludzi, dobiera sobie siły odpowiednie. Jest to czyn łatwy do wytłomaczenia. Ale z drugiej strony gdy poprzedni zarobkodawca rozstaje się ze swymi pracownikami, obowiązek sumienia nakazuje zabezpieczyć ich przyszłość. Taki obowiązek czuje „pan" względem swego lokaja, który mu poświęcił kilkanaście lat pracy. To samo odczuwa i stara się zadośćuczynić głosowi sumienia każdy przedsiębiorca lub właściciel prywatny; nie odprawia z niczem, nie pozostawia losowi swych najemników długoletnich.

Inną etykę, inne sumienie i poczucie obowiązków moralnych mają tylko akcyonaryusze kolei żelaznych. Na barkach licznej rzeszy pracowników wzmogło się przedsiębiorstwo, wyrosły akcye i dywidendy. Setki ludzi na długoletnich usługach tych posiadaczów kapitałów stargały swoje siły, zniedołężniały. Setki dotychczas wprawiają w ruch tę całą machinerye przedsiębiorstwa i oto gorszy los ich czeka, niż lokaja, który swojemu panu poświęcił kilkanaście lat życia spokojnego.

Dotychczasowa gospodarka kolei Nadwiślańskiej wogóle pozostawia smutną sławę, w szczególności zaś — pod względem traktowania swych pracowników. Najmniej ona myślała o ich potrzebach, najmniej wnikała w warunki życia i pracy, a gdy chodziło o wynagrodzenie za krzywdy, wyrządzone tym ludziom skutkiem ich przeciążenia, wolała zamiast polubownego załatwienia sprawy, stawać przed kratkami sądowemi i bronić do upadłego swych „interesów," tj. systemu wyzysku. W ostatnich latach procesy tego rodzaju kolej Nadwiślańską zrobiły rozgłośną. Nie uznawała ona najsłuszniejszych żądań, nie chciała dobrowolnie przyznać wynagrodzenia ludziom, którym nadmiar pracy odebrał siły, którym skutkiem niedbałych urządzeń parowozy lub wagony pomiażdżyły i poobcinały ręce; tym, którzy jeżdżąc po kilkanaście godzin prawie bez przerwy na maszynie, wzrok stracili. Akcyonaryusze i zarząd

---

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

XXII.

Świątynia Buddhy.

Z tej świątyni, zbudowanej na pamiątkę odciśniętej stopy Buddhy, przeglądają wieki. Jest w niej coś wspaniałego, coś cyklopowego.

Cztery bóstwa, biały jak kość słoniowa Drotoroastre, pan południa, czarny Wiruba, władca zachodni, piękny, cały różowy, uśmiechnięty Pakszi, pan wschodu i żółty Uajsrowowa, władca północy, bronią wejścia do przybytku.

Razem jest to dziwotwór o czterech głowach i ośmiu rękach — dziwotwór, przed którym bramini w lasach głębokich dotychczas palą wierne żony ze szczątkami mężów.

Na ścianach oryginalne, fantastyczne rysunki. A oto kolosalne statuy Brahmy, Wisznu i Siwe, których ołtarze ubrane w trawy wonne.

Dziesiątki chorągwi pstrych z napisami słów modlitwy i dziękczynienia — ofiary wiernych, zawieszone przed ogromnym obrazem: „Święto Buddhy."

Śród dyabłów, dziwotworów z głowami słoni, siedzi spokojny i uśmiechnięty na swoim tronie.

Języki płomieni kurczą się przed nim i pełzają u jego stóp. Zbliżające się dyabły padają martwe. Strzały, puszczone w niego, lecą napowrót w głowy demonów.

A oto scena charakterystyczna:

Młoda Syngalezka, strojna, misterna, jak statuetka z ciemnego bronzu, klęczy przed obrazem radży Kossoli.

Przyniosła mu bukiet ylang - ylang'a i patrzy na statuę wzrokiem błagalnym, swojemi pięknemi, czarnemi oczyma.

Biedaczka, miała dziś sen, który ją przeraził i przyszła teraz prosić o wytłomaczenie widziadeł sennych.

Radża Kossol miał pewnego razu szesnaście snów, z których poznał całą przyszłość ludzkości. Stoi on na straży, na granicy teraźniejszości i przyszłości i posyła ludziom sny wieszcze.

A oto młoda matka, zgięta w pasie, z dzieckiem, siedzącem na biodrze, jak na koniu, stoi przed dobrym bogiem słoni, bogiem o poczciwym wyrazie, pomimo ogromnych kłów i groźnie podniesionej trąby. Uśmiechnięty, patrzy trzema oczyma łaskawie.

Przyszła prosić boga słoni o siłę i długowieczność dla swego malca.

— Proszę, sir!

Kapłan otwiera wzorzyste drzwi świątyni i pobożnie zakrywając twarz rękami, wchodzi.

Półmrok tajemniczy. Powietrze przesycone zapachem kwiatów zwiędłych. Doznaję lekkiego zawrotu głowy.

Stos kwiatów lotosu, ylang-ylang'a, jaśminu, wonnych białych „kwiatów świątyni" pokrywa ołtarz rzeźbiony.

Buddha przyjmuje w ofierze tylko kwiaty.

Na ścianach pomalowane podobizny 200 uczniów Buddhy.

Naprawdę, gdybym zobaczył te rysunki w jakiem muzeum, powiedziałbym, że to dzieło bizantyjskich malarzy obrazów świętych, do tego stopnia uderzające podobieństwo póz, ruchów.

Ale gdzież sam Buddha?

Stoimy przed przegrodą szklaną. Zakrywa ona niszę i w pierwszej chwili nic nie możemy rozpoznać w ciemnościach za szkłem. Ale oto patrzą stamtąd na nas ogromne szklane oczy nieruchome.

mieli zawsze sumienie tak opancerzone, że najbardziej krzycząca niesprawiedliwość, wyrządzona tym ludziom, pracującym na wzrost dywidendy zarobkodawców, nie przeniknęła nigdy do ich wnętrza, nie poruszyła duszy, przepełnionej cyframi dochodów. Bronili oni zawsze zawzięcie zasady niesprawiedliwości i wyzysku, woleli haniebną rolę podsądnego wyzyskiwacza, niż człowieka, który z własnej woli chce wyrządzoną krzywdę złagodzić. Taki upór i taka zawziętość podsycała tych robigroszów, że pomimo stałego przegrywania spraw w sądach, zawsze wyczekiwali tej zniesławiającej ich ostateczności.

Czytelnicy znają historyę cystern adeńskich, opowiedzianą tak pięknie przez Doroszewicza. Tam ludzie byli potrzebni do stworzenia wspaniałego dzieła, które przez długi szereg wieków ludzkość podziwia. Po dokonaniu robót całe te rzesze pracowników uśmiercono wodą. Coś analogicznego widzimy w dzisiejszym systemie gospodarki kolejowej. I my mamy swoich faraonów, akcyonaryuszów, dla których ludzie pracujący póty są potrzebni, póki dywidendodajne przedsiębiorstwo jest w ich rękach lub dopóki pracownikom sił starczy. Gdy ich zabraknie, zarobkodawcy uważają tych ludzi za swoich wrogów, za rabusiów, którzy zuchwale chcą uszczknąć jeden listek, na zabezpieczenie swego bytu, z wielkiego drzewa akcyj dobrze procentujących.

To też pozycyę wydatków: „pensya, zarobki i wynagrodzenia,“ najdotkliwiej odczuwają ci posiadacze kapitałów, włożonych w przedsiębiorstwo komunikacyjne. Największym tedy jest ich tryumfem, największą radością ograniczenie płacy lub zmniejszenie liczby pracowników. Dążność w tym kierunku aż nadto jest wyraźna, bo się ujawnia w istotnych i wielkich stratach, jak np. rozbicie wagonów, parowozów, zepsucie toru, tj. wypadków, wynikłych z braku odpowiedniej liczby pracowników.

Otóż czy taki system traktowania armii roboczej, dźwigającej na swych barkach całe przedsiębiorstwo kolejowe, daje rękojmię zabezpieczenia ich losów ze strony akcyonaryuszów po zmianie właściciela? Nieliczna garstka urzędników wybitniejszych bądź pozostanie, bądź przejdzie na inne koleje w głębi Cesarstwa. Znaczna większość najbardziej obarczonych pracą i najgorzej uposażonych „spadnie z etatu“; będą także pozbawieni zarobku t. zw. „najemnicy podzienni.“ O losy tej kategoryi ludzi właściwie najpoważniej zatroszczyć się trzeba. Tymczasem akcyonaryusze zamierzyli wspaniałomyślnie ofiarować dla nich 97,000 rs., tj. po 2 rs. 50 kop. od każdej akcyi, sumę, której wystarczy zaledwie na pierwsze chwile bezrobocia przymusowego. Ale i na tę ofiarę nie zgadzają się najobojętniejsi dla naszego społeczeństwa — akcyonaryusze zagraniczni. Wszak tego rodzaju sprawy przechodzą przez głosowanie? Czyżby się nie znalazła garstka akcyonaryuszów — obdarzonych jeżeli nie świadomością ważnych obowiązków społecznych, to przynajmniej do pewnego stopnia uczuciami ludzkiemi — która zechciałaby pomyśleć o losie pracowników kolejowych i w tym celu poczynić jakieś zabiegi?

LISTY PETERSBURSKIE.

Rola prasy w życiu społeczno-państwowem. — Potrzeba większej swobody i prawa dla heroldów opinii publicznej. — Sztandar patryotyzmu i błoto ze Strastnego Bulwaru. — Korespondenci prowincyonalni. — „Niewola polsko-żydowska“ w gub. Smoleńskiej. — Wpływ i skutki doniesień tendencyjnych. — General-gubernatorstwo wileńskie i obawy p. Wołyńca.



Siewiernyj Wiestnik podkreślił doniosłość prasy w życiu społecznem, jej ważną rolę pomocniczą i wpływ na stosunki ogólne w państwie. Z tego powodu żąda, ażeby „Heroldowi opinii publicznej“ zapewniono normalniejsze położenie, odpowiadające istotnym potrzebom i wymaganiom państwowym. Ze względu na to już przed 17-tu laty utworzono oddzielną komisyę, którą jednak wkrótce potem rozwiązano, a zamiast prawa formalnego wydano „przepisy tymczasowe.“ „Pomimo tych zarządzeń — powiada miesięcznik powyższy — prasa zdołała w wielu sprawach udzielić ważnych wskazówek, zarówno na polu ekonomicznem i finansowem, jak i w zakresie najróżnorodniejszych objawów życia publicznego. Organy urzędowo spożytkowywały zawsze te wskazówki. Co więcej, w ukazie Najwyższym z dnia 12 stycznia 1895 r. powiedziano wyraźnie, że prasa i jej przedstawiciele oddają państwu wielkie usługi. Ministeryum spraw wewnętrznych niedawno odwoływało się do prasy peryodycznej w tak doniosłej sprawie, jak reforma prawodawcza, dotycząca włościan.“

Pomimo takich pocieszających objawów, prasa podlega różnym ograniczeniom, skutkiem czego pewne sprawy i zjawiska bywają jednostronnie oświetlane ze szkodą interesów państwa. „Zdarza się np. często, że bardzo ważne projekty wchodzą w życie nader późno lub w formie niedojrzałej dlatego jedynie, że prasa nie mogła ich roztrząsać wyczerpująco.“

Siewier. Wiestn. zaznacza, iż szczególnie na prowincyi prasa zatrzymała się w swym rozwoju; a tam właśnie wszechstronne roztrząsanie spraw publicznych stanowi niezbędną potrzebę, skoro weźmiemy pod uwagę, że prowincya wywalcza sobie coraz większą samodzielność. Utrudnienie publicznego rozstrząsania ujemnych stron gospodarstwa społecznego i finansowego wytwarza tylko niebezpieczny optymizm, co, rzecz prosta, musi wywoływać rozczarowania, zawikłania i niezadowolenie.

Ale nie dość tego. „Jednostronne oświetlenie przesileń, posunięte aż do ich lekceważenia, robi to, że źródła złego są poszukiwane w stosunkach bieżących po za sferą ekonomiczną, co nie przyczynia się wcale do wyświetlenia rzeczy. I na innych polach, co do jawności zbyteczne są obawy. „Przecież od nadużyć i wykroczeń broni kodeks karny.“ Jeżeli coraz większe są ułatwienia dla roztrząsania spraw publicznych w różnych Towarzystwach lub za pomocą odczytów, to rozszerzenie praw, przysługujących prasie, byłoby tylko logicznem następstwem rozwoju. Niepodobna, ażeby w takim zawiłym mechanizmie, jakim jest państwo, jedno koło obracało się wolniej niż inne, albo nawet zatrzymywało się zupełnie i aby tem samem hamowało produkcyjność innych części. Czas już po-

---

Spojrzenie nieprzyjemne, chłodne, jak wzrok nieboszczyka. Zagląda on nam poprostu w duszę.

Zaczynamy rozpoznawać za szkłem kolosalną figurę leżącego Buddhy, 28 stóp długą.

To Buddha podczas wypoczynku, Buddha Nirwany. Buddha, który drzemie w spokoju niebytu.

Ta przegroda szklana, ten eter przezroczysty, oddziela go od wszystkiego, co ziemskie, od ludzi, leżących twarzą, którzy błagają o Nirwanę, od jęków i płaczu, od zapachu kwiatów. Patrzy on spokojnie na wszystko, jak w letargu, zatopiony w spokoju, boskim spokoju niebytu.

— A co to za piękna kobieta, na której twarzy maluje się spokój i harmonia? Ślicznie wykrojone usta i dobre spojrzenie dużych czarnych oczu — wskazuję ogromną statuę w żółtym płaszczu, spływającym w fałdach z jednego ramienia.

Kapłan z uszanowaniem zakrywa twarz rękami.

— To nie kobieta, sir. To Majtribuddhi, przyszły Buddha, który zstąpi na ziemię, ażeby uczyć ludzi prawdy i wskazać im drogę do zbawienia. Oto w tej wiązce liści palmowych, która leży u wezgłowia Buddhy — jest napisane jego imię święte. Nikt nie zna tego imienia, prócz kapłana najwyższego. Wszystkie napisy są przystępne dla ludzi, z wyjątkiem tego. Co napisano na tych liściach, czyta tylko jeden kapłan najwyższy raz do roku, 15 maja, w dzień gdy cierpiący Buddha urodził się z kwiatka lotosu czerwonego. Zostaje on w nocy jeden w tej świątyni i czyta proroctwa święte o przyszłym Buddzie Tutaj on wymawia jego imię ziemskie, a Majtribuddha kiwa mu głową, gdy słyszy swe imię.

Wszystko tu oddycha jakiemiś tajemnicami, wszystko obliczone na to, ażeby napełnić umysł obrazami fantastycznymi.

Majaczy się nam w wyobraźni ten przybytek zamknięty w noc świętą. Półmrok, w którym pełgają wiszące u góry lampy. Stary kapłan naczelny w wysokiej tyarze drżącą ręką wydobywa z pod wezgłowia Buddhy zwitek tajemniczy i ze wzruszeniem wymawia imię boga.

Statua ogromna, bielejąca w półmroku, powoli schyla głowę i uśmiecha się swojemi pięknie wykrojonemi ustami.

Ożywiają się i jak gwiazdy błyszczą jego oczy.

W tym duszącym aromacie kwiatów podzwrotnikowych, którymi przesycone powietrze świątyni Buddhy, jest coś upajającego, coś podobnego do haszyszu.

Te kwiaty — to poezya przyrody, poezya, w której się roztaczają fantastyczne obrazy, marzenia i sny.

XXIII.

Buddha.

Dwadzieścia sześć rzeźb patrzy na nas z galeryi świątyni w Keleni; dwadzieścia sześć podobnych jak krople wody, figur o twarzach kobiecych, bez wąsów i brody, z płaszczami, spadającymi z jednego ramienia, figur siedzących w jednej pozie, z nogami skrzyżowanemi, z oczami zamkniętemi, z językiem płomiennym, wychodzącym z głowy.

To 26 wyobrażeń Buddhy wcielonego.

Pięćset pięćdziesiąt pięć razy wcielał się Buddha, ażeby nauczyć ludzi prawdy i dobra.

I gdy szczątki pięćset pięćdziesiątego piątego Buddhy spalą się na stosie, cały świat pogrąży się w Nirwanie.

Ostatni Buddha żył 2,400 lat temu i nosił na ziemi imię radży Wiskontri. Jego ojcem był radża Suddodene, matką — Maramaja.

Ale on się urodził właściwie z kwiatka lotosu różowego, który od tego czasu jest uważany za święty.

Jego dusza przebywała w tym kwiatku i gdy bezpłodni Suddodene i jego żona Maramaja prosili Brahmę o syna, z róż-

stawić prasę pod osłoną silnych praw i uwolnić ją od opieki środków „tymczasowych.“

Organ powyższy żywi nadzieję, że projektowana komisya do przejrzenia ustaw prasowych rozpocznie pracę od zniesienia „przepisów tymczasowych,“ że wysunie na pierwszy plan odpowiedzialność sądową i że zrówna pod względem praw prasę prowincyonalną ze stołeczną. „Poddanie prasy wyłącznie pod działanie prawa i sądu nie byłoby chyba rzeczą tak trudną, gdyż wykroczenia prasowe podlegają u nas tak surowym karom, że wdawanie się admistracyi jest zupełnie zbyteczne.“ Dwie komisye, utworzone w latach 1865 i 1880, uznały już potrzebę przejrzenia ustawy prasowej ale w rzeczywistości nic od tego czasu nie zrobiono.

Niewątpliwie sprawa poruszona przez *Siewiernyj Wiestnik*, ma doniosłe znaczenie. Prasa stanowczo wywiera i wywierać może wpływ wielki na bieg spraw, związanych z bytem i losem wielomilionowych mas ludności. Ale należy o tem pamiętać, że niezbędny jest i probierz uczciwości przedstawicieli tej prasy, że ona nieraz używa złej woli i nie gardzi takimi środkami, jakich się chwyta pierwszy lepszy szalbierz, szantożysta, rabuś i złodziej. Nowe prawo, poddające prasę pod działanie sądu, powinno mieć to wszystko na względzie.

Weźmy kilka przykładów z chwili bieżącej: Obecnie pisma rosyjskie prawie jednomyślnie oburzają się na *Moskowskija Wiedomosti.* Między innemi *Nowoje Wremia* podaje przykłady, stwierdzające, że organ moskiewski pod dzisiejszą redakcyą, przywłaszczając sobie sztandar patryotyzmu rosyjskiego, obrzuca błotem całą prasę i literaturę ojczystą, skoro tylko dopatrzy „jakąś ideę miłości chrześciańskiej dla bliźniego, poczucia bezstronności i honoru.“ „W tych wypadkach *Mosk. Wied.* nie wahają się ani na chwilę używać najpotworniejszych kłamstw i zarzutów. Aby stanąć w przeciwieństwie z prasą rosyjską, potrafią głosić hasła antipatryotyczne, jak np. głoszą sławę czynów szczepu germańskiego i polityki niemieckiej, i to dlatego tylko, że inne dzienniki rosyjskie są odmiennego zdania i wogóle opinia powszechna w Rosyi potępia zachowanie się Niemców, jako ludzi i sąsiadów. *Now. Wr.* zapewnia, że nie trafią dziś do przekonania ogółu rosyjskiego hasła, wygłaszane na szpaltach *Moskowskich Wied.* Organ ten za czasów Katkowa „kierował opinią publiczną w Rosyi, programy polityczne, wygłaszane na szpaltach jego, znajdowały odgłos w Petersburgu. Dziś pod firmą tego pisma zebrała się garstka aferzystów dziennikarskich, nieprzebierająca w środkach dla zyskania powtórnie powodzenia i rozgłosu. Z tego powodu szeregi czytelników przerzedzają się coraz bardziej i w chwili obecnej, gdyby nie ogłoszenia, zamieszczane obowiązkowo w tem piśmie na mocy dawnego przywileju, kiedy jeszcze było organem uniwersyteckim, dochód z prenumeraty nie zapewniłby bytu dziennikowi.

A jednak pismo to ma swoich zwolenników, którzy święcie wierzą temu, co ono głosi. Czy taką walką organ moskiewski oddaje wielkie usługi państwu, w to wnikać nie będziemy. Wpływ ujemny sieją pisma, może czasem bezwiednie, za pomocą swych „sił“ prowincyonalnych, tj. korespondentów, rekrutowanych nieraz z najlichszych żywiołów społeczeństwa. Tendencyjne lub fałszywe światło w największej ilości pochodzi od korespondentów przygodnych, którzy informują swych czytelników na podstawie spostrzeżeń z okien wagonu, z podsłuchanych rozmów na ulicy lub hotelu.

W tych dniach *Now. Wr.* zamieściło znamienną korespondencyę ze Smoleńska, którą warto streścić. Przygodny reporter nie był w tem mieście około dwu lat i znalazł, że przez ten czas liczba Żydów wzrosła tam znacznie. Na ulicach głównych większość sklepów — w ich rękach. Jednocześnie wzrasta także liczba Polaków, którzy zajmują tam znaczny procent miejsc, i to „najlepszych.“ Sporo przybywa ich z kraju północno-zachodniego. Jest również dużo w Smoleńsku Białorusinów i Białorusinek wyznania katolickiego, szukających służby. „Podszczuwani przez księży, uważają się za Polaków i usiłują mówić po polsku.“ Jeszcze jeden szczegół niezmiernie przeraził korespondenta: Oto spostrzegł on, że przez te niespełna dwa lata kościołek katolicki, mały i stary, zamienił się na piękną i dużą świątynię, piękniejszą zewnątrz od wszystkich cerkwi prawosławnych w tem mieście. „Jeżeli nie będą przedsięwzięte środki energiczne przeciwko spolszczeniu i zżydzeniu Smoleńska, to za jakie dziesięć lub dwadzieścia lat nie będzie on w niczem różnił się od miast gubernialnych kraju północno-zachodniego.“ W powiatach Kraśnieńskim i Smoleńskim większość majątków ziemskich przeszła w ręce polskie, a teraz Polacy skupują pospiesznie ziemię w pow. Duchowczyńskim. „Obywatele Polacy z Rosyanami nie łączą się, w razie potrzeby wybierają adwokatów i lekarzy Polaków. Jak wiadomo, szlachcic polski nie może się obejść bez Żyda, więc nadciągają za nimi do wiosek smoleńskich całe bandy izraelskie i w każdym majątku polskim znajduje przytułek kilka rodzin żydowskich. Jak w guberniach zachodnich, jak w Galicyi rusińskiej, tak samo i tutaj Polacy-katolicy idą ręka w rękę z Polakami wyznania mojżeszowego, a ludności rosyjskiej zbyt ciężko jest walczyć z tym związkiem. Bardzo często dają się słyszeć skargi, że siła Żydów wzmaga się do tego stopnia, iż urzędnicy Rosyanie, którzy chcieli przerwać ich napływ, musieli ustąpić ze swych stanowisk.

Korespondent tak dalece jest zbolały, tak rozżalony i załzawiony, że z po za tych łez dostrzegł w gub. Smoleńskiej... „niewolę polsko-żydowską,“ tj. nie Polaków i Żydów w niewoli, lecz Rosyan pod panowaniem polsko-żydowskiem. (Takich „spostrzeżeń“ poważne organy rosyjskie nie wahają się drukować). Jeszcze jedno westchnienie: „Ciężkie wrażenie wywiera widok cerkwi rosyjskich!“ A dlaczego? Bo Żyd, wyzyskujący włościanina, nie da na cerkiew ani grosza, nie da, ma się rozumieć, i obywatel Polak. Oto dlaczego cerkwie są w smutnym stanie. I jakiż stąd wniosek wyprowadzi czytelnik rosyjski? Parafianie prawosławni nie mogą podnosić i budować cerkwi, więc powinni je odnawiać i fundować... Polacy i Żydzi!

Nie streszczalibyśmy tych wywodów, gdyby to był objaw pojedynczy. Niestety, jest to stała naganka korespondentów prowincyonalnych przeciwko Polakom. Owi zaś korespondenci są wyrazicielami opinii, namiętności i dążeń znacznych mas ludności. Tam, gdzie niechęć i uprzedzenie do Polaków drzemią, naganka ta budzi je z siłą wielką.

Mamy jeszcze dziś do zaznaczenia uwagi p. Wołyńca (Liprandiego) o generał-gubernatorstwach. Jak wiadomo, po śmierci gen.-gub. Orżewskiego niektóre pisma rosyjskie (autor utrzymuje, że i polskie) podały projekt zniesienia generał-gubernatorstwa wileńskiego. Otóż p. Wołyniec dowodzi, że w kraju północno-zachodnim nic się nie zmieniło na lepsze, że polityczna nieprawomyślność ludności polskiej nie uległa pożądanej zmianie, lecz przeciwnie wzmogła się nawet od czasu, gdy zaczęto mówić o pojednaniu i powrocie do

---

wego kwiatka lotosu wyszło przed nimi śliczne dziecko, z oczami błyszczącemi jak krople rosy podczas wschodu słońca.

Oto historya Buddhy:

Na wierzchołku wzgórza spiralnie idzie droga siedmiokołowa, otoczona ścianą niewysoką.

Zdawałoby się tak łatwo dojść na wierzchołek niewielkiego wzgórza. Można jednak tam błąkać się dzień cały, jak w kole zaczarowanem i nie dosięgnąć wierzchołka.

Zdaje się, oto jesteśmy na wierzchołku; jeszcze jeden zakręt i—jesteśmy o jedno koło niżej

Ta droga spiralna-labirynt, to siedem kół prowadzą do błogiej Nirwany. Ta droga spiralna z masą zakrętów — to życie ludzkie.

Ażeby się dostać do wierzchołka, gdzie drzemie w boskim spokoju Buddha—trzeba bezustannie mieć przed oczyma jego przykład.

I oto w niszach, zrobionych w ścianie labiryntu, przesuwa się w płaskorzeźbach cała historya Buddhy, ostatniego księcia Wiskontra.

Wiskontri był bardzo bogatym i potężnym radżą. Ale ani władza, ani honory go nie nęciły. Myśli jego zawsze biegły ku niebu, tam, gdzie za eterem błękitu drzemią bogowie w Nirwanie.

I pewnego razu, gdy on siedział pod drzewem rozłożystem Botri, zeszło nań natchnienie.

Zrozumiał, że się szczęście zdobywa nie mękami i udręczeniami fakirów, nie spaleniem się żywcem na świętym stosie braminów, lecz łagodnością i miłością dla wszystkiego: Boga, przyrody i ludzi.

Wtedy właśnie Wiskontri ogłosił swoich sześć przykazań dla ludzi; od tego czasu drzewo Botri, pod którem wstąpiło natchnienie w Buddhę, uważa się za święte.

Wiskontri rozdał cały swój majątek ubogim, zrzekł się władzy i z dwojgiem dzieci, córką i synem, udał się w podróż po świecie szerokim.

Pewnego razu w lesie spotkał go żebrak, całkiem zczerniały, wychudły jak szkielet i poprosił o jałmużnę.

— Umieram z głodu, panie mój!

Nie mam nic, czem mógłbym ci dopomódz, bracie! — odrzekł radża.

— Jak to nic?—zawołał żebrak—a twoje dzieci? Daj mi je, sprzedam je w niewolę i kupię sobie chleba.

Zapłakał Wiskontri i oddał dzieci swoje, ażeby zbawić bliźniego od śmierci głodowej.

Afrit, kat piekła, używał wszelkich środków, ażeby zgubić dzieci księcia Wiskontri.

Nietykalne, bez szwanku szły przez las z ubogim.

Tygrysy łasiły się do nich, żmije spełzały z drogi, słonie dzikie zginały kolana na widok dzieci i nawet najgorsze z jestestw, człowiek, nie ważył się nic złego im wyrządzić. Weddowie, dzicy ludzie pierwotni, którzy mieszkają na drzewach, jak małpy, nie wypuszczali na nie strzał zatrutych.

Syn radży, Biskontri, ożenił się następnie ze swoją siostrą i był wybrany na radżę. Stary zaś radża umarł na niestrawność żołądka.

Dręczony głodem, spróbował pewnego razu mięsa wieprzowego: Wszystkie jego wnętrzności od zetknięcia z mięsem i krwią zwierzęcą wyszły zewnątrz.

Gdy jego szczątki spalono na stosie, kości, włosy i paznokcie Buddhy Wiskontri pozostały nietknięte. Rozrzucono je tu i owdzie po świątyniach Hindostanu, Ceylonu, Chin i Japonii.

Rozniosło je 200 uczniów Buddhy, którzy rozszerzyli pięć przykazań jego po całym świecie.

(C. d. n.).

normalnych warunków rządzenia. „Wszystkie żywioły niespokojne, które dawniej wywołały potrzebę władzy generał gubernatorstwa, istnieją obecnie i dają się uczuwać na każdym kroku. Jeżeli szkodliwa ich siła trochę osłabła w porównaniu z szóstem dziesięcioleciem wieku niniejszego, zawdzięczyć to można tylko władzy powyższej. Zniesienie jej spotęguje siłę tych żywiołów i będzie zarazem zwycięztwem sprawy polskiej... „Polacy mogą być usposobieni pokojowo, lecz to w żadnym razie nie powinno osłabiać czujności władz państwowych, aż dopóki wszystko nie dojdzie do należytego porządku. Bogactwo i wpływy polskich właścicieli ziemskich, posiadających dotąd więcej niż połowę gruntów, żywiołowa ich nienawiść do kultury rosyjskiej i odosobnienie od wszystkiego, co rosyjskie; nadto, sprawy żydowska i niemiecka, tudzież wogóle kolonizacya obcokrajowa, wszystko to wymaga pełnomocnictw specyalnych, nadanych general-gubernatorowi.“

P. Wołyniec strasznie się boi wprowadzenia w kraju północno - zachodnim samorządu ziemskiego, który szlachcie polskiej da szerokie pole działalności. „Powołanie żywiołu polskiego do tej działalności i jednoczesnie zniesienie generał-gubernatorstwa, byłoby czemś tak dalece nowem, że przypominałoby przeszłość.“ Wnioski p. Wołyńca są także oddźwiękiem opinii znacznej liczby ludzi interesowanych lub fanatycznie, wrogo usposobionych do wszystkiego, co polskie.

Paweł Krzyżanowski.

TWÓRCZOŚĆ A KONKURENCYA.

II.

Życie społeczne miewa objawienia. Właściwa mu natura występuje wtedy z całą wyrazistością. Takiemi sanktuaryami są *Strand* w Londynie, *State street* w Chicago. W pewnych godzinach tłoczą się tam gromady ludzi, tworzących jedną nieprzerwaną masę. Lecz zwartość jest tylko pozorna, bo w tym potoku głów panuje rozpasanie i samowola indywidualna. Każdy idzie zajęty tylko własną osobą i dba jedynie o siebie, cudze odciski i suknie go nie obchodzą. Kto zachował w duszy swojej jeszcze źdźbło grzeczności, tj. poprostu względności dla innych, będzie popychany, deptany, szturchany. Jeżeli ktoś nastąpi na cudzą nogę lub potrąci, nie trzeba spodziewać się przeprosin, bo po pierwsze na to nie ma czasu, powtóre nie jego to wina, iż inni nie mają się na baczności. I nietylko odciski są zagrożone, ale także sakiewka i zegarek. Każdy zatem patrzy z pode łba na wszystkich, ci zaś na niego. Zapanowała równość najdoskonalsza w duchu mieszczańskim: wszyscy mają prawa jednakowe, mężczyzna nie usunie się przed kobietą, silniejszy przed słabszym, zdrowy przed chorym. A kiedy zerwie się ulewa i parasole rozeprą się w górze nad głowami, nastaje istna bójka wszystkich przeciw wszystkim, prawo pięści zaś rozstrzyga...

Objawienie to rzetelne ustroju, którego bogiem jest Mamona, tętnem — gorączka złota, za które można „życie w rozkoszy spłość i kupić honor mężów i kobiet cześć,“ konstytucyą zaś — zasada: „ile—tyle!“

Niepodobna, ażeby taki rozgardyasz powszechny, w którym nikt nie jest pewny, czy nie wyciągają mu portmonetki z kieszeni, nie podkopują się pod stanowisko jego, nie pozbawiają go podstępnie kawałka chleba, nie wywarł rozległego i zarazem głębokiego wpływu na dążenia człowieka i ideały, na jego uczucia i nastroje, na upodobania estetyczne i zasady moralne, wreszcie na treść twórczości artystycznej i filozoficznej.

Rządy zasady wszechfrymarczenia, tj. obracania wszystkiego na towar, nastały w dziejach rodu ludzkiego względnie niedawno. W ciągu wieków musiała ona poprzestawać na przestrzeni, zamkniętej przez mury miejskie, dokoła których panowały inne wzory — gospodarstwa naturalnego. Nowe maksymy, zrodzone w zgiełku targowym burgów średniowiecznych, przy swojem rozpowszechnianiu napotkały tamę w uczuciach i poglądach barbarzyńskiego trybu życia i potrzebowały długiego czasu, ażeby podmyć zasady dawne, prastare. Wieki średnie są świadkami ciekawej walki, jaką toczy powstający ustrój mieszczański z uprzedzeniami okresu wcześniejszego co do pobierania odsetek. Procentowicze, *vulgo* lichwiarze, słyną jako plugawe gadziny— *pesta serpens, verocissima bestia!* Municypalność Pizy w r. 1286 postanawia, iż utrzymującym się z pożyczania pieniędzy nie wolno mieszkać w grodzie, sądom — rozpatrywać ich spraw, obywatelom—dawać im przytułku. Ojcowie kościoła, ci publicyści doby ówczesnej, nie mają wyrazów potępienia dla tych, którzy na odsetki pożyczają pieniędzy, sobory powszechne i miejscowe wyklinają taki proceder i Luter jeszcze rzuca na niego przekleństwa swoim jędrnym, chłopskim językiem. „Jeżeli ktoś otrzymuje z powrotem — każe on — więcej, niż dał lub w lepszym gatunku, będzie to lichwa! Nie oddał bliźniemu swemu żadnej usługi, lecz taką samą szkodę, jaką sprawia kradzież lub rabunek!“

Zaledwie kilka wieków przedziela nas od tych czasów. Lichwa wżarła się w życie nasze, stała się pierwszorzędnej doniosłości dźwignią rozwoju ekonomicznego, i tylko wtedy piętnujemy ją, skoro zbyt przekroczy granice, wyznaczone przez prawo. I etyka, oparta na zasadzie frymarku, ongi nie wykraczająca po za obręb rynku, rozpostarła się dzisiaj w całem społeczeństwie. Według jej zapowiedzi, kształtujemy obecnie stosunek swój wzajemny człowieka do człowieka, i nikt, jeśli pragnie istnieć, nie może wyłamać się bezkarnie z tych oków. „Ile—tyle!“ hasło to stało się zasadniczem założeniem moralności niezależnej, dodajmy: moralności niezależnej okresu wszechfrymarczenia. A pod kupnem-sprzedażą, jako zasadą więzi społecznej, ukrywa się uprawnienie sobkostwa, chciwości i podejścia. Mandeville, jeden z owych umysłów paradoksalnych, które w paru wierszach umieją zawrzeć więcej dowcipu i dosadniej a głębiej rzecz przedstawić, aniżeli inni w dziełach sążnistych, już na początku ubiegłego stulecia usiłował dowieść, iż samolubstwo jest i być powinno podstawą wszelkiego ustroju społecznego. Społeczeństwo w jego bajce jest pełne chuci występnych, lecz mimo to rosło w dobrobyt. Występki jednostek jedynie przyczyniały się do wzmożenia pomyślności powszechnej. Każdy pojedynczo uskarżał się na łotrostwa, lecz państwo istniało tylko dzięki zbrodniom i wadom. Wszak i harmonia koncertu wynika z połączenia tonów, częstokroć sprzecznych nawzajem! Umiarkowanie i trzeźwość jednych umożliwiały innym wyuzdanie i rozpustę, skąpstwo było sługą marnotrawstwa, zbytek i próżność żywiły biedaków, zawiść i sobkostwo podniecały rozkwit handlu. Dobrobyt tak rozpowszechnił się, iż nawet ubodzy lepiej żyli, niż dawniej bogacze. Ale nastała skrucha, która wydała owoce jaknajgorsze, bo doprowadziła społeczeństwo do upadku. Mandeville wyciąga z bajeczki swojej naukę moralną. „Głupi śmiertelnicy! — powiada on — nadaremnie pragniecie połączyć wielkość z uczciwością. Tylko półgłówki mogą łudzić siebie nadzieją, że użyją rozkoszy ziemi, otoczą się sławą wojenną, spędzą dni swoje w pomyślności i przecież zachowają cnotę! Porzućcie takie czcze rojenia. Podejście, rozpusta i próżność są konieczne. Wszak z nich zrywamy słodkie owoce!“

Mandeville nie wyzwolił się jeszcze od ideałów okresu feodalnego i instynktów *Raubritter*'ów. Zrozumiał jednak, jakie są kardynalne zasady porządków mieszczańskich, cała rzecz w tem, iż uczestnika korowodu Mamony, tchórzliwego i wstrzemięźliwego, ulepił na obraz i podobieństwo rabusiów średniowiecznych. Ma on już odwagę twierdzić, iż rozpasanie indywidualne zapewni społeczeństwu najwyższą sumę dobrobytu. Zacięcie rycerskie znika dopiero u ekonomistów z końca przeszłego wieku, gdy zamiast miecza łokieć i miarka zapanowały w społeczeństwach Europy zachodniej. Nie dowodzą oni, iż zbrodnie jednostek przyczynią się do pomyślności narodowej, lecz bronią założenia mniej jaskrawego i bardziej mieszczańsko-pokojowego: jednostka, dbając tylko o siebie, pracując tylko dla siebie, nietylko zabezpieczy najlepiej byt własny, ale także zapewni pomyślność powszechną. Nauka o gospodarstwie narodowem zamienia się zwolna na kodeks zasad moralnych. Etyka z ekonomią zaczynają się tak plątać nawzajem, charakter rachunkowości i zasada pobierania odsetek za czyn każdy tak przenikają w głoszone ideały postępowania, iż doprawdy częstokroć bylibyśmy w kłopocie, gdyby nam kazano odgraniczyć modły geszeftu od przykazań nowej etyki. Bentham może posłużyć za wzór myśliciela, który naukę o moralności zamienił na rozdział buchhalteryi pospolitego *businessu.* Ażeby nas nie posądzono, iż kierujemy się w sądach swoich tylko własnem przywidzeniem, podamy głosy innych pisarzy. „W zaślepieniu do metody, jaką wyznaczył wiedzy ekonomicznej — mówi Espinas o tym suchym i czerstwym moraliście epoki wszechfrymarczenia — Bentham posunął się aż do twierdzenia, iż metoda taka jest najstosowniejsza i dla etyki. W gruncie rzeczy, naukę o interesach materyalnych należy podporządkować nauce o obowiązkach społecznych, ale filozof angielski skrzywdził etykę i zamienił ją na ekonomię, robiąc z obowiązku tylko obrachunek korzyści!“ Ktoś inny, zdaje się Guyau, odzywa się o utylitaryzmie jeszcze dosadniej: „Człowieka utożsamiono z maszyną rachunkową, notującą fakty i cyfry, zaprzeczono prawa bytu życiu umysłowemu i porywom serca, w świecie kazano szukać tylko korzyści i strat, doradzano człowiekowi być istotą suchą, twardą, chciwą i skąpą, ludzi przyrównano do prostych kółek w mechanizmie. Świat składa się z handlarzy, buchhalterów, statystów, tylko ludzi tam niema!“ I jeżeli będziemy wertowali ekonomistów, zwłaszcza tych, którzy lubią dać folgę językowi i prawić morały, jeśli przestudyujemy apostołów utylitaryzmu, tj. buchhalteryi w zastosowaniu do etyki, lub jałowych, a nudnych gadułów w rodzaju Smilesa, jeśli wreszcie weźmiemy do ręki tendencyjne powieści w duchu ideałów mieszczańskich, wszędzie znajdziemy te same hasła samolubne i te same zasady, odmieniane przez wszystkie przypadki i liczby, czasy i tryby. Nowa ewangelia używa najrozmaitszych przenośni, ażeby rozpowszechnić wyznawaną prawdę: będzie to już tłusty Sancho Pancho, namacalnie przekonywający czytelników, iż błędni rycerze są o tyle potrzebni, o ile mogą komuś wyrobić wielkorządztwo wyspy, albo pracowita i skrzętna mrówka, wyrzucająca na chłód i głód lekkomyślnego konika polnego i dająca mu zamiast kęsa chleba morały mieszczańskie...

Nie piszemy dziejów moralności mieszczańskiej w obecnem stuleciu. Chodzi nam tylko o zaznaczenie ogólnego charakteru etyki nowoczesnej. A jednak byłaby to rzecz bardzo ciekawa, gdyby ktoś oświetlił rozwój zasad moralnych w w. XIX w zależności od wzrostu wszechfrymarczenia, tj. gospodarstwa pieniężnego, i rozpadania się narodu na wrogie atomy. Utylitaryzm indywidnalny zapanował. Umysły, idące w parze z sercem, usiłują zreformować go w duchu szczerszym i uspołecznić—z jednej strony, z drugiej zaś ideologowie rozpasania indywidualnego starają się pozyskać dla niego powagę przyrodniczą i wykazać, że takiem jest prawo powszechne świata organicznego. Mill i Spencer—oto dwa drogowskazy — pierwszy pragnąłby wydobyć się z zatęchłej atmosfery targowiska i pomarzyć o solidarności, drugi zapamiętale burzy wszystko, co pętałoby samowolę osobistą i na silniejszego nakładało powne obowiązki względem słabszych. Autor *Filozofii syntetycznej* jest przedewszystkiem obrońcą pazurów mieszczańskich. Nie jest on przecież najkrańcowszy. W orszaku jego uczniów są tacy, którzy zniszczyliby Biblię tylko za to, że prawi o miłości bliźniego i konieczności poskramiania chuci indywidualnej. *Hart sei!* mówią oni, tylko słabe i bezbronne owce trzymają się gromady, silni zaś drapieżcy żyją w rozsypce...

Etyka zamieniona na buchhalteryę geszeftu indywidualnego, hymny dla samolubstwa i apetytów wilczych, w gruncie zaś kult spokojnego wczasu i żarcia! I mimowoli przypominają mi się Carlyle i jego dziesięcioro przykazań trzody chlewnej — ta krótka, brutalna, ale tak silna satyra moralności i filozofii mieszczańskiej. Jędrna ta rzecz publicysty angielskiego, zdaje się, nie była tłomaczona na nasz język. Pozwolę więc sobie przytoczyć z niej dłuższy wyjątek.

„Prawda pierwsza: Wszechświat, o ile zdrowym rozsądkiem można dociec, jest niezmierzonem korytem, zawierającem rzeczy twarde i ciecze, oraz przeciwieństwa wiele innych rodzajów, przedewszystkiem zaś przedmioty, których można dosięgnąć i które są do nieosiągnięcia. Tych ostatnich jest bez porównania więcej — dla większości trzody chlewnej.

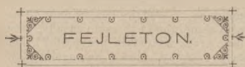
„Prawda druga: Złe moralne to niemożliwość wylegiwania się w kałuży; dobro— gdy dostępowi do niej nic nie jest na przeszkodzie.

„Prawda piąta: Poczya trzody chlewnej polega na powierzchownem uznaniu wyższości kałuży i karmu, spożywanego przez jej okazy, szczęście zaś — na utrzymaniu koryta w porządku i najedzeniu się.

„Prawda dziewiąta: Na czem zasadza się sprawiedliwość? Na zabraniu cudzej części z ogólnego koryta, nie daniu zaś ani źdźbła swojej.

„Prawda dziesiąta: Ale jaką jest część moja? W tem właśnie tkwi trudność, o której wiedza trzody chlewnej, mimo długich rozmyślań, nie zdołała jeszcze nic wyrzec. Moją częścią — brrul — moją częścią jest wszystko, co mogę osiągnąć, nie narażając się na powieszenie."

L. Krzywicki.



PAMIĘTNIK.

Aklamacye.

Coraz częściej powtarza się w naszych instytucyach fakt wyboru członków zarządu przez „aklamacyę." Na pozór jest to objaw pocieszający, bo jakoby świadczy, że posiadamy wielu ludzi godnych bezwzględnego zaufania i nieprzedstawiających żadnej wątpliwości, że jawne lub tajomne głosowanie powolałoby ich na zaszczytne stanowiska. W rzeczywistości jednak bywa zwykle inaczej. Propozycyą wyboru kogoś przez aklamacyę garść jego przyjaciół i popleczników teroryzuje zebranych i nie pozwala im oświadczyć się za innym kandydatem. Bo jakże tu wystąpić publicznie z protestem przeciwko zaleconemu w ten sposób mężowi, zwłaszcza gdy on skądinąd jest człowiekiem uczciwym i zasługującym na szacunek! W głosowaniu, a szczególnie w głosowaniu tajemnem każdy oświadcza się wolną wolą za kimś, nikt nie zdradza swej niechęci do innych i nawzajem nikt nie czuje się obrażonym, gdy nie wyjdzie z urny zwycięzcą. Inaczej przedstawia się sprawa, kiedy Piotr ma oznajmić, że on nie zgadza się na wybór Jana przez aklamacyę: wtedy bowiem ujawnia wyraźnie przeciw niemu swoje *veto*, dotyka go osobiście i staje względem niego w stosunku nieprzyjaznym. Że owe aklamacye, chociaż spełniane, nie bywają wyrazem szczerego uznania, dowodem skarga korespondenta *Kuryera Codziennego* na tę formę wyboru członków zarządu w Towarzystwie kredytowem m. Kalisza. Wobec zbyt częstych tego rodzaju nacisków i narzekań ludzie szanujący swą godność powinni nie przyjmować żadnego urzędu z aklamacyi i poddawać się tajnym wyborom. Wtedy dopiero mogą być pewni, że okazane im zaufanie jest szczere i nie wymuszone zręcznymi manewrami. Owa rzekoma „jednomyślność" kryje w sobie nieraz tak wielką niezgodę, że — jak to się zdarzyło przed kilku laty w pewnej instytucyi powszechnej — został przez aklamacyę 100 członków wybrany ktoś, kto faktycznie miał za sobą 10 głosów. Jeśli nie znał prawdy, to zaiste był godzien pożałowania w swem złudzeniu. Jeśli ją znał — nie był godzien ofiarowanego mu zaszczytu.

Ludzie i towary.

Nasze koleje żelazne w bezprzykładnem lekceważeniu pasażerów są najzupełniej konsekwentne. Ponieważ — jak one utrzymują -- przewożenie ludzi naraża je na straty, a tylko przewożenie towarów daje im zyski, więc naturalnie o pierwszych nie dbają wcale, a o drugie — bardzo. Każda paka ma w wagonie swoje własne miejsce, a jeżeli w niej znajduje się coś kruchego, np. szkło — jeżeli na niej napisano: „ostrożnie," wtedy ją wnoszą do wagonu troskliwie i umieszczają tak, ażeby nie doznała szwanku. Inaczej z ludźmi. Tych się pakuje do wagonów, których cała przestrzeń jest zatłoczona ciałami, a gdyby ktoś nawet był ranami pokryty, będzie popychany, szturgany, deptany i wcale nie może marzyć o tej względności, jakiej doznaje skrzynia mydła lub cykoryi, a tem mniej szkła lub porcelany. Skrzynie nie wiedzą o swych przywilejach, ale woły, konie, świnie, owce, które mają zapewnioną wygodę w wagonach, patrząc na ludzi zduszonych, stojących w korytarzach, na gankach, wysuwających z okien głowy dla oddechu, jak wyjęte z wody ryby — śmieją się dumnie. Ludzie oprócz zwyczajnej opłaty za przejazd mają jeszcze nabywać osobne karty, dające im prawo do miejsca, tymczasem towary są i będą wolne od tych dopłat.

Jak widzimy, różnica jest wyraźna i na konsekwencyi oparta. Ale powoli posuwa się ona tak daleko, że upośledzone w transporcie ciała ludzkie zaczynają przemyśliwać, czyby nie zrzec się zupełnie komunikacyi kolejowej. Najusilniej nasuwa im do rozpamiętywań ten temat najstarsza, najbogatsza i najbardziej wroga ruchowi pasażerskiemu droga W.-Wiedeńska. Nie dość, że rozpycha ona ciałami człowieczemi ściany swoich wagonów, wynalazła jeszcze dla nich okrutną torturą kontroli. Jak sępy spadają na biednych pasażerów rewidenci biletów, budzą ich ze snu, targają, świecą w oczy latarkami — słowem, pozwalają sobie rozmaitych znęcań, od których zabezpieczona jest każda paka towaru. Ale tego wszystkiego było jeszcze za mało. Przed kilku dniami—jak donosi *Kuryer Warszawski* — pociąg osobowy, idący z Warszawy, został wstrzymany w Piotrkowie całą godzinę. Dlaczego? Bo pomocnik kontrolera spóźnił się nań z Noworadomska, więc telegramem kazał go zatrzymać i puścił się za nim w pogoń pociągiem towarowym. Nie pomogły skargi, pogróżki, zapisano w księdze zażaleń: kilkuset podróżnych musiało czekać, dopóki nie przybędzie p. pomocnik kontrolera i nie zrewiduje ich biletów.

Zapewne, w kierunku lekceważenia pasażerów można posunąć się jeszcze dalej, ale chyba już nie bardzo daleko.

Dla porównania brutalstwa kolei Wiedeńskiej z grzecznością zagraniczną przytoczę jeden dowód.

Przed laty kilkunastu *skutkiem zamieci śnieżnej*, spóźnił się o kilka godzin pociąg do Drezna, skąd już odszedł łączny z nim do Wrocławia. Na dworcu nie było zawiadowcy, który spał. Pasażerowie zażądali, ażeby go przywołano i ażeby objaśnił, jak mamy się udać w dalszą drogę. Gdy nie chciał przyjść, spisano zażalenie w księdze. A rezultat był taki: zawiadowca dostał dymisyę, a zarząd odszukał przez konsula w Warszawie piszącego te słowa, przeprosił go listownie i zapytał, jakie rości sobie pretensye materyalne do kolei.

Czyżby to przez myśl przeszło olimpijczykom drogi W.-Wiedeńskiej!

Jeśli ona wszakże kiedykolwiek zechce bodaj troszkę zbliżyć się do wzorów zagranicznych, a jednocześnie ukrócić nadużycia biletowe, niech ograniczy synekury, a otrzymane stąd oszczędności niech użyje na podwyżkę pensyj konduktorów, którzy wtedy dobrze wynagrodzeni i dbali o swoje posady, nie będą szachrować i przewozić podróżnych na własną korzyść. Gdzieindziej — *probatum est.*

Jubileusz Jordana.

Przez wiele lat ze szpalt *Tygodnika Ilustrowanego* intrygował swą maską autor, piszący pod pseudonymem Jordana. Dziwnym u nas wypadkiem, gdzie jeden literat o drugim wie, na który bok zasypia i jakie nosi skarpetki, długo nie znano właściwego nazwiska twórcy „Wędrówek delegata." Domyślano się tylko z jego powieści, obejmujących wyłącznie świat szlachecki, że musi to być jakiś rzetelny sodalis, malujący rzeczywistość, na którą z bliska patrzy i którą oświetla jowialnym humorem Wilkońskiego. Jakież było zdziwienie, gdy się okazało, że Jordanem nie jest wcale szlachcic, lecz mieszczanin, dyrektor banku, Julian Wieniawski

W krótkiej notatce nie będziemy rozbierali działalności i charakteryzowali talentu jubilata, zwłaszcza że w roku przeszłym mówiliśmy o nim szczegółowo. Zauważymy tylko ogólnie, że Jordan był wymownym rzecznikiem interesów i kłopotów ziemiaństwa, że chociaż nie wyrósł z tego gruntu, przejął się głęboko jego pierwiastkami moralnymi, a w krytyce życia swych bohaterów dał im szereg bardzo cennych rad i wskazówek, które mógł zaczerpnąć ze swego stanowiska społecznego. Humor jego nie jest wytworny, a satyra niezłośliwą, ma on raczej w swem piórze rodzaj niewinnego, dobrodusznego konceptowania.

Przyjaciele złożyli mu dary pamiątkowe w rocznicę jubileuszową, a na tę ich

życzliwość i serdeczność rzeczywiście zasłużył.

Pod godłem Mickiewicza.

Spodziewaliśmy się, że rozmaici—swojscy i zagraniczni — wydawcy zechcą przy ogniu jubileuszowych wspomnień o Mickiewiczu upiec swój interes; spodziewaliśmy się, że wyjdzie mnóstwo książek, których okładka będzie ofiarowana poecie, a dochód nakładcy. Robota w tym kierunku już się rozpoczęła. Między innymi wystąpił ze zbiorem utworów Mickiewicza (w 5 tomach) księgarz lipski Brockhaus. Nie przeglądaliśmy tej edycyi, nie wiemy tedy, czy ona tak obfituje w błędy, jak poprzednie. Ale co uważamy za grubą omyłkę w rachunku kupca niemieckiego, to cenę. Żąda on 4 rs., podczas gdy wiadomo nam, że przygotowują się zbiorowe wydania, które kosztować będą po kilkadziesiąt kopiejek (a jeden z księgarzy warszawskich podobno będzie rozsyłał je prenumeratorom swych pism darmo). Płacić tedy 4 rs. za dzieła Mickiewicza w roku jubileuszowym będzie chyba ktoś bardzo naiwny.

Przy sposobności zaznaczymy dwa bardzo smutne fakty: dotychczas nie posiadamy ani jednego całkowitego wydania pism największego z naszych pisarzów, które byłoby poprawnem i opatrzonem komentarzami, a co ważniejsza nie mamy żadnej pewności, że taka staranna edycya (podjęta we Lwowie) wyjdzie jako pamiątka roku jubileuszowego. Nadto wszystkie wydania dokonane zostaną w celach spekulacyjnych na rzecz nakładców, ani jedno na korzyść rodziny, której ubóstwo jest milczące i dumne, niemniej przeto dla niej dotkliwe, a dla nas sromotne.

BADANIA NAUKOWE.

OBJAWY ŻYCIOWE I SIŁY MATERYALNE.

W biologii spotykamy się z całym szeregiem sił, niedających się dokładnie zbadać, ani wymierzyć. Narzuca się jednak pytanie: czy zjawisko to jest wynikiem niemateryalności sił, czy też wynika z braku dokładnych sposobów badania? Istotnie to, co dziś wydaje się nieokreślonem i niedającem się wymierzyć, jutro zyskać może podstawy naukowe. Cały rozwój nauki wymownie świadczy o prawdziwości tego twierdzenia. Obie teorye mają jednak racyę bytu i śmiało staną mogą do walki, byleby opierały się na ściśle obserwacyjnych lub doświadczalnych danych. Aby móc naukowo poruszyć kwestyę niemateryalności sił duchowych, należałoby dostarczyć niezbitych dowodów na to, iż siły owe są czemś całkiem odrębnem i nie posiadają mechanicznego równoznacznika. Znakomity chemik A. Gautier, w ciekawej pracy *), z którą mamy zamiar zapoznać czytelnika, podał szereg dowodów, przemawiających za niematerjalnem pochodzeniem sił duchowych. Nie czyni on żadnych metafizycznych hipotez dla wytłomaczenia swych wniosków, zadawala się jedynie stwierdzaniem faktów.

Własności, jakiemi materya zdradza swe istnienie — powiada on — nie należą do niej w nieuniknieny sposób. Bezustanne wymiany światła, ciepła, elektryczności, sił mechanicznych odbywają się między materyą i nadają jej blask, barwę, światło, elektryczność, ruchy, ale to, z czego są złożone przedmioty materyalno, pozostaje *bezwiednem*, czyli niezdolnem do wywołania samo przez się tych zjawisk.

Gdy materya zmienia stan pierwotny, musimy wierzyć, że działają na nią siły. Siła dynamogeniczna jest przyczyną, nadającą ciałom zdolność do przebiegania przestrzeni z pewną szybkością. Ożywiona siłami materya posiada *energię*. Kula armatnia w spoczynku jest materyą bezwładną; przy wybuchu posiadać ona będzie energię mechaniczną, dającą się łatwo wymierzyć. Energia, istniejąca poprzednio w utajeniu, zamieniła się na ruch, przekształciła się zatem na nową siłę. A gdyby uczynić nieprawdopodobnem całkiem przypuszczenie, iż cały świat znika oprócz nas i tej kuli, moglibyśmy mniemać, że ona posiada własność posuwania się wciąż naprzód przez całą wieczność. Owa własność jest jednym z objawów sił, dla których materya stanowi podkład; jeśli kula spotka na swej drodze przeszkodę mechaniczną, np. mur, wstrzyma się nagle, a energia ruchu, jaką była obdarzona, przekształci się na energię elastyczną lub wibracyjną, która udzieliwszy się jednocześnie kuli i przeszkodzie materyalnej, dostarczy im pewnej ilości ciepła, proporcyonalnej do utraconej energii ruchu. A zatem mamy tu cztery formy energii: energię chemiczną prochu, kaloryficzną palnych gazów, ruchu, elastyczną kuli i muru, przekształcającą się na ciepło w chwili uderzenia. Wszystkie cztery postacie energii powstały jedna z drugiej i mogłyby bez żadnej utraty sił powrócić do jednego ze stanów pierwotnych. Są to równoznaczniki energii.

Siły materyalne odznaczają się zatem tą własnością, iż udzielają one energię materyi, pod warunkiem jednak, iż gdy ukazuje się jedna z form energii, poprzednia znika.

Czy siły, ujawnione przez życie istoty, posiadają owe dwie zasadnicze cechy sił materyalnych? Zwierzę funkcyonuje dzięki bezustannej przemianie materyi i dzięki owym przemianom energia z uśpionej staje się czynną. Zawsze jednak wytwarzane ilości ciepła, pracy zewnątrznej i wewnętrznej są równoznaczne z temi, jakie posiadają zużyte pokarmy. Dla tych przyczyn Berthelot wyraził się, że życie nie zużywa żadnej właściwej sobie energii.

Możnaby stąd wywnioskować, że jeśli życie nie zużywa żadnej cząsteczki energii materyalnej, nie jest zatem żadną z jej form. Czemże jest życie i jak się ono objawia? Istota żyjąca, np. komórka, asymiluje, rozwija się i rozmnaża. Aby kierować temi trzema funkcyami, posiada w sobie jakąś siłę. Protoplazma komórki jest siedliskiem chemicznych zjawisk odżywiania, jądro zaś jest środkiem kierującym. Jeśli przepołowić komórkę (np. amebę) tak, aby jedna część zawierała jądro z małą ilością protoplazmy, a druga prawie całą pierwoszczę bez jądra, ujrzymy niebawem, że część, posiadająca jądro pozostanie przy życiu i wkrótce powetuje poniesione straty, podczas gdy połowa komórki, obfitująca w protoplazmę, przez pewien jeszcze czas ulega chemicznym przemianom, lecz wkrótce żyć przestaje. Jądro komórki nie jest czynnikiem przemian fizyko-chemicznych, lecz rządzi czynnami, życiem i rozmnażaniem się. Podobne rządzenie objawami życiowymi nie może być dziełem *siły materyalnej*, gdyż, jak wspomnieliśmy wyżej, siły te mają zdolność wywoływania w materyi ciepła, przemian chemicznych, pracy; porządek, kierunek właściwy tym objawom, nie może spożytkować, ani wytworzyć siły. Kierunek, nadany zjawiskom materyalnym, porządek, prawa stąd wynikające, nie posiadają równoznacznika mechanicznego. Gdyby chcieć wszystkie zjawiska, odbywające się w komorce, wytłomaczyć na zasadzie sił fizyko-chemicznych, należałoby wyjaśnić, jakim sposobem wszystkie objawy materyalne, odbywające się w naszych tkankach, harmonizują się w istocie żywej, aby wspólnie dbać o zachowanie jednostki i gatunku. Żołądek trawi chemicznie pokarmy, gruczoły wydzielają właściwe sobie płyny, krew przynosi tkankom tlen i rozpuszczone pokarmy, energia kaloryficzna, mechaniczna itd. powstaje cała z działań wyłącznie materyalnych, wszystkie te zjawiska odbywają się na zasadzie sił fizyko-chemicznych. Nie w tem mieści się trudność. Życie jest wynikiem porządku, nadanego tym czynnościom, dążącym do jednego celu.

Owe tajemnicze przyczyny, owa umowa zawarta między komórkami organizmu w celu zachowania jednostki i gatunku, połączone są u zwierząt, zwłaszcza zaś u człowieka, z pewnem zjawiskiem, zwanem *świadomością*: myślą, wolą, uczuciem estetycznem, zmysłem moralnym. Czy podobna objawy te zaliczyć do rzędu sił materyalnych? Tak, jeśli odpowiadają one równoznacznej ilości energii mechanicznej, chemicznej lub kaloryficznej. Otóż doświadczenie nas uczy, że dzieje się inaczej. Czy zwierzę, które spożywa daną ilość pokarmów, myśli lub nie, czy decyduje się na czyn (byleby czyn nie był wykonany), wytworzy tę samą ilość ciepła i pracy mechanicznej, byleby otrzymało jednakową ilość pokarmów i tlenu. A zatem dla wytworzenia zjawisk myślenia i woli nie została zużytkowaną najmniejsza część sił mechanicznych lub chemicznych, nie odbyła się przemiana energii materyalnej na energię rozumowania, sądu, myśli. Owe czyny, będące wyłączną własnością istot żywych, nie posiadają równoznacznika mechanicznego *). „Czyny psychiczne — mówi Chaureau — nie zużytkowują energii, wytworzonej przez pracę fizyologiczną, energia ta integralnie przemienia się na ciepło."

Gdy drgania mechaniczne lub chemiczne, wywołane przez podnietę zewnętrzną, dochodzą do naszego mózgu, działają podniecająco na komórki nerwowe; podrażnienie komórek jest zjawiskiem fizyko-chemicznem, któremu towarzyszą zmiany odżywcze, a całość energii, wyzwolonej przez podrażnienie mózgowe, jest równoznaczną z energią udzieloną. Gdy jednak wrażenie materyalne zostało w ten sposób nagromadzone w komórce nerwowej i gdy zapanowała nowa równowaga fizyko-chemiczna, zaczynają po sobie następować zjawiska świadomości. Z wrażenia powstaje czucie (sensacya); rozbudza ono myślenie i wolę. Myśl może się nawet rozbudzić w kilka lat po odebranem wrażeniu, wówczas gdy znikł całkiem prąd energii, który przeszedł przez mózg. Albowiem myśl i wola nie są wrażeniem, ani jedną z form przejściowych podniecającej energii. Uczucie nie jest nawet koniecznem następstwem wrażenia. Zjawiska świadomości odbywają się w milczeniu, pamięć je utrwala, a rozum porównywa. Wrażenie było natury materyalnej, lecz zmiany mechaniczne i chemiczne, towarzyszące im, znikły już dawno, podczas gdy umysł porównywa między sobą odebrane wrażenia. Akt psychiczny nie jest przeto skutkiem przekształcenia energi, która wywołała wrażenie i udzieliła się mózgowi. Czuć, porównywać, chcieć, nie jest działać, a jedynie akt materyalny przekształca się na rozmaite formy energii.

Myśl jest porównaniem wrażeń między sobą. Gdy artysta wygrywa na skrzypcach, wibracye, jakie dochodzą do ucha i przedostają się do mózgu za pośrednictwem nerwu słuchowego, są natury czysto materyalnej, dają się ściśle wymierzyć i posiadają równoznaczniki w innych

*) Revue générale des Sciences pures et appliquées. 15 Avril 1897

*) Tu właśnie tkwi pytanie. Red.

formach energii. Owe wrażenia materyalne dochodzą w jednakowy sposób *) do mózgu psa, murzyna i wyrafinowanego Paryżanina i wywołują podobne fizykochemiczne zmiany. Myśl, jaką wywołuje percepcya tych wrażeń, jest całkiem odmienną w każdym pojedynczym wypadku. Wynika ona skutkiem porównania percepcyj z pojęciami estetycznemi, istniejącemi poprzednio, a na tem tle powstaje przyjemność lub przykrość. Te same dźwięki, ułożone w innym porządku, wywołałyby identyczne wrażenie materyalne, lecz myśl muzyczna byłaby mu obcą. Jedynie wewnętrzna percepcya porządku, porównania wrażeń z poprzednio nabytemi wytwarza proces myślenia. Percepcya i porównanie nie posiadają mechanicznego równoznacznika.

Słyszymy nieraz zdanie, iż akt myślenia jest męczącym dla mózgu, że pochodzenie ma materyalne, gdyż substancya mózgowa rozgrzewa się i zużywa, jak się to dzieje przy pracy mięśnia. Pod nazwę *myślenia* podciągamy zazwyczaj cały szereg czynów materyalnych, towarzyszących mu. Pierwszy wydatek siły fizycznej spożytkowany zostaje dla przygotowania mózgu do odebrania wrażeń, jakich dostarcza mu świat zewnętrzny; następnie same wrażenia są męczące, a wreszcie wysiłek myśli dla ugrupowania tych wrażeń obecnych lub dawniejszych, aby je między sobą porównać, przyczynia się również do męczenia mózgu.

Możnaby wyobrazić sobie mózg w postaci obszernej biblioteki, w której odebrane wrażenia zapisują się na kartach. Aby módz spożytkować w danej chwili otrzymane wrażenia, należy zajrzeć do katalogu (praca pamięci, gdy mowa o mózgu), otworzyć księgi dawno zamknięte lub wpółotwarte, przerzucać stronice i szukać pilnie obrazów, pozostałych po wrażeniach. Jest to przygotowawcza praca do myślenia. Następnie rozpoczyna się prawdziwa praca myśli. Są ludzie, którzy jednym rzutem oka ogarniają naturalne prawa ludzkości. Inni niewiele co odczytać mogą w księgach, gdyż stronice niewyraźnie są zapisane. W jednym i drugim wypadku *myśl* nie jest proporcyonalną do mózgowego wysiłku przygotowawczego.

Podobnie rzecz się dzieje z *wolą*. Człowiek postępuje często inaczej, niż domagają się tego jego instynkty i zachcianki; przyczyny *moralne* kierują jego postępowaniem, lecz owe przyczyny nie są żadną siłą materyalną.

Nie możemy przeto zaprzeczyć, iż w istocie żywej obok sił materyalnych istnieją siły niemateryalne; nie są one jednak przekształceniem sił materyalnych i nie są zdolne do udzielania energii materyalnej istotom żywym.

Prawdziwa nauka nie sięga dalej — dodaje Gautier na zakończenie ciekawej swej pracy— dalsze wywody byłyby wierzeniem, uczuciem, osobistym poglądem. Ścisła obserwacya uczy nas jednak, iż nietylko materya istnieje i nietylko jej siły rządzą światem.

Dr. J. J.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NASZEJ TECHNIKI LITERACKIEJ.

II.

Jakiś „znany powieściopisarz i literat," który jest współpracownikiem dużej gazety codziennej — boć powieściopisarz dziś nieodzownie musi być współpracownikiem jakiejbądź gazety wszędzie, gdzie się rozpościera berło „szóstego mocarstwa," tj. prasy — napisał sztukę ludową z muzyką „znanego" kompozytora. Niech tą sztuką będzie „Przeklęty nabytek," autorem jej p. Wincenty Wartkiewicz, a kompozytorem — p. Zygmunt Nowacki... Dostaje się ona na „deski teatralne," dajmy na to — „ogląda światło kinkietów" ogródka Belle-Vue. Dzielna „trupa lubelska" ją wykonywa. Rozbrzmiewają trąby reportera-sprawozdawcy, który umie połączyć zręcznie swój interes — zarobek — ze sławą autora premiery, i może ją końcem pióra uśmiercić, albo na tron chwały wynieść. Co za szczęśliwa sposobność dla „Gazety Nadwiślańskiej," która ma zaszczyt posiadać dramaturga jako swego współpracownika, może wyzyskać powodzenie sztuki jego na korzyść własną! Co za wyborna chwila dla reklamy pisma z pomocą reklamy dla autora! I łączy ono swój głos— swoją trąbę — z ogólnym chórem reporterów, robiących sławę autorowi sztuki, pismom, na których są żołdzie, i sobie samym — grosz!.. „Wczoraj Teatr lubelski (trupa aktorów lubelskich) w Belle Vue, wystąpił z premierą. Jeżeli się nie mylimy, była to *pierwsza* w tegorocznym sezonie ogródkowym. Tytuł sztuki — „Przeklęty nabytek." autor jej — Wincenty Wartkiewicz. Muzyka do kupletów i tańców — Z. Nowackiego. Nie potrzebujemy przypominać czytelnikom, bo wiedzą o tem oddawna ze szpalt „Gazety Nadwiślańskiej, że Wartkiewicz jest naszym współpracownikiem; bylibyśmy też w *drażliwem* położeniu, gdyby przypadkiem sztuka się nie udała, jak to się zdarza nawet *bardzo znakomitym dramaturgom.* Na szczęście jednak stało się inaczej. „Przeklęty nabytek" podbił publiczność i miał powodzenie *bardzo wybitne, bardzo literackie* (!). Notujemy to z podwójną przyjemnością, naprzód jako sukces *przyjaciela*, powtóre, jako *przybytek repertuarowi popularnemu* dobrego, interesującego utworu." Kursywa tej cytaty są moją własnością, jako że mi się bardzo podobało, co nad niemi — nietylko dla rodakcyi, ale i dla mnie są to miłe punkty ciężkości i oparcia...

Tenże autor jest reklamowany i w inny sposób przez toż samo, zasłużone w krytyce teatralnej, pióro. „Pióro" to np. jedzie leczyć swe członki do Trenczyna. Opisuje tam zabawy towarzyskie rodaków zażywających kąpieli leczniczych, teatr amatorski chwilowo goszczącej na obczyźnie „polonii" i, stęsknione za „Warszawką kochaną," spowiada się w końcu z nostalgii. Sposób, w jaki się spowiada, stanowi właśnie całą reklamę dla „kochanego współpracownika." Udaje to pióro figlarnie, że jego drogie miasto, to jedna duża „kochana" szara plama, a jaskrawym i jedynie budzącym uwagę punktem na niej — teatrzyk ogródkowy w Belle-Vue! Tęsknota za fachowością, jak widzicie, czyni większe cuda czasem, niżeli tęsknota za krajem!.. W tym ogródku, *là-bas*, grają sztukę Wartkiewicza. Więc „pióro" wykrzykuje: „Z jakążbym radością poszedł do Belle-Vue posłuchać sztuki Wartkiewicza, druha mojego." Wszystko to pisze, ale naprawdę, nie zaś w mojem urojeniu, owo zasłużone na niwie ojczystego piśmiennictwa pióro, w korespondencyi „Gazety Nadwiślańskiej." Wyzyskuje więc znowu sposobność, tj. powodzenie teatralne Wartkiewicza na korzyść sławy i powodzenia majstra i warsztatu, gdzie długie lata pracuje. Ono gotowe udawać nawet, że w niem odbywa się zupełnie inaczej, niż u wszystkich, proces psychologiczny, właściwy duszy tęskniącej za czemś, co jest ogromnym, całą duszą wstrząsającym splotem zjawisk. Ono jest wyjątkiem szczęśliwym, w którym wszelkie inne skojarzenia obrazów, uczuć i myśli zamarły naraz i ustąpiły pokornie przed jednym faktem — przed sztuką p. Wartkiewicza, graną z powodzeniem wielkiem w Belle-Vue. Co większa, ono gotowo wmówić w siebie i innych, że jest sfiksowane na tym punkcie, byleby stało się zadość reklamie autora, z którego rozgłosem, jak oddech płuc z ruchem serca, związany jest rozgłos dziennika.

Bolesnym jest ten udany, czy prawdziwy przerost uwagi *pióra*, za którem stoi człowiek „sam w sobie" i czekał Bolesnym dla człowieka, tak obdartego z uwagi, że może i dwu minut nie zdołałby utkwić myślą w donioślejszym, niż teatr dzisiejszy, przedmiocie... To też, żeby uszanować rdzeń cichy i zabukany człowieka, za podmiot zdań wyrzeczonych używam wciąż — „pióra." W cechu literackim ono jest najwymowniejszym symbolem fachu. I spodziewam się, że z głębin tego symbolu nie wyleci kamień obrazy, jako kamień gniewu, i nie zawarczy nad mojem uchem. Bo najgłębsza jaźń nie ima się pracy. Więc niech mi wolno będzie dalej używać mego symbolu...

A samo pismo? Jak ono się reklamuje? Drukuje powieść bardzo utalentowanego i poczytnego „pióra." Zanim powiem więcej, schylam oto kornie czoło przedniem— zwyczajem bogobojnych ludzi. Tenże sam autor pisze nową, na tle pierwszych wieków chrześciaństwa, powieść. Pisze ją — nie on to wymówił — na obstalunek. Jak wobec śmierci, nikt, wielcy i mali, nie jest wolnym dziś i u nas już od tej formy dostawania się na rynek duchowy. Przypatrzcie się ogłoszeniom tego pisma, wołającym z tygodników i gazet. Brzmiało ono dosłownie tak: „Gazeta Nadwiślańska," największy dziennik polski, wychodzi przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich. W odcinku drukuje powieść Hipolita Rodkiewicza, pod tytułem „Rodzina Szczanieckich." Niebawem po ukończeniu druku tej powieści zacznie „Gazeta Nadwiślańska" drukować nową powieść Rodkiewicza p. t.: *Quousque tandem?* osnutą na tle pierwotnych dziejów chrześciaństwa. „Gazeta Nadwiślańska" nabyła *Quousque tandem?* na wyłączną własność i żadne inne pismo powieści tej przedrukowywać nie będzie..."

Co? Dowcipna naganka na czytelników? To jest przewyborny sposób zwabienia ciekawych kiełbi i płotek do swego saka. Ale mniejszy byłby skutek bez umiejętności użycia kalibru czcionek do odpowiednich akcentowań. To też nazwa gazety, imię sławne pisarza i tytuł dzieła jego drukowane są czcionkami czarnemi, jak smoła i dużemi, jak woły — inne obojętniejsze zdania reklamy obojętnym, niepozornym burgosem, monopol zaś na dzieło historyczne i epoka, na której tle jest ono osnute — tłustym, żałobnym garmontem... W tych tłustych czarnych zwierzątkach jest samo sedno: sama reklama, sam interes. Te opasłe, kare czcionki to istne gromy, trąby jerychońskie — biorą one przemocą oczy czytelnika roztargnionego i krzyczą do niego w niebogłosy.

Wszystko to, wraz z wielu innymi faktami, którychby nie zbrakło, gdybyśmy chcieli mnożyć przykłady, świadczy, że i nasza prasa wzoruje się coraz wyraźniej na handlu i przemyśle—że coraz bardziej staje się sama handlem i przemysłem. Ona właściwie jest sumą fachowców pióra, zorganizowanych przez kapitał. Gdzie zaś ten mąż twardy się wda, tam zawsze wycisnąć musi sobie właściwe piętno. Tym kluczem należy tłomaczyć wiele zjawisk nowych, niebywałych dawniej w piśmiennictwie polskiem, a więc, między innemi i naszą dzisiejszą technikę literacką, przedewszystkiem styl autorów naszych najnowszych i daleko głębszą, za stylem się kryjącą — sprawę samodzielności myślenia, czyli, jakby powiedział

*) To także niepewne. *Red.*

wielki znawca tego, Schopenhauer, *das Selbstdenken*...

Wykazanie wpływu obecnych i dziennikarskich warunków twórczości literackiej na styl, język i samodzielność myślenia piszących byłoby wdzięcznym przedmiotem badania. Właśnie tym przedmiotem chciałbym wkrótce zająć trochę uwagi czytelników *Prawdy*.

Zyg. Pietkiewicz.

LITERATURA ANGIELSKA.

Marya Corelli: *A Romance of two Worlds. Barrabas. The Sorrows of Satan.*

Obok pań Ward i Deland, Marya Corelli wyodrębniła się pośród niezliczonej liczby piszących kobiet oryginalnością swych pomysłów powieściowych. Nie jest to talent pisarski wielkiej miary, ale umysł śmiały i niespokojny. Weźmy chociażby ostatnią jej powieść p. t. „Smutki szatana.“

Próby zrehabilitowania dyabła czynione już były na tyle różnych sposobów, a jednak wciąż się ponawiają. Zdawałoby się, iż w tej dziedzinie niepodobna już być oryginalnym: pani Corelli dopięła tego celu. Jej szatan pomimo swego upadku nie przestaje marzyć o pogodzeniu się z Bogiem, który odtrącił go, widząc iż robak zawiści ku człowiekowi wylągł się w jego sercu. Ale pomimo to szatan jest wciąż zakochany w Bogu i tem bardziej jeszcze nienawidzi człowieka. Rozdzierają go dwa uczucia sprzeczne: szkodzenia ludziom i pogodzenia się z Bogiem. Sprzeczne, gdyż drugie nie może urzeczywistnić się właśnie z powodu obecności pierwszego. Ale taką jest zwykle logika namiętności ludzkich.

„Wspaniały i wzniosły archanioł znajdował się po prawicy bóstwa i spozierał bez znużenia na przepych jego dzieł. Naraz spostrzegł w dali w perspektywie rzeczy zarodkowych świat nowy, na którym tworzyła się powoli istota podobna do aniołów, zarazem słaba i silna, szalona i wzniosła, istny paradoks, który miał przebijać sobie drogę po przez wszystkie fazy istnienia aż do chwili, gdy natchniony duchem Stwórcy miał dopiąć nieśmiertelności świadomej, rozkoszy najwyższej i wiekuistej. Wówczas Lucyfer, zapalony gniewem, zwrócił się do Pana sfer i rzucił okrzyk zuchwały: „Chcesz-li uczynić z tej istoty nieznacznej anioła? Jeżeli tak zrobisz, ja go zniszczę, aby nie mógł dzielić z nami blasku Twej mądrości i Twej miłości!“ A głos najwyższy odrzekł: „Lucyferze, synu poranka, wierz, iż żadne słowo, wymówione wobec nas, nie może pozostać bezpłodnem. Co rzekłeś, musisz wykonać. Zstąp, duchu dumny, z twej wysokości! I nie wracaj, póki sam człowiek cię nie odkupi! Każda dusza, co ustąpi twym pokusom, będzie nową zaporą pomiędzy niebem a tobą; każda dusza, co cię odepchnie, zbliży cię natomiast do stanowiska utraconego. Gdy świat cię odrzuci, ja ci wybaczę i przyjmę napowrót do siebie, ale nie wcześniej!“

W ten sposób dyabeł zawdzięczać ma zbawienie swe człowiekowi, ale niestety, kara jego jest wiekuistą, gdyż z natury swej, z dumy, z zazdrości, z danego słowa musi kusić człowieka, człowiek natomiast jest nazbyt słabym, aby miał pokusom tym się oprzeć. „Człowiek gotów jest odrzucić Boga, ale dyabła nigdy!“ Odległość między szatanem a niebem musi więc wciąż wzrastać, a wraz z tem wzrasta jego nienawiść do człowieka. Tęsknota ku niebu płonie w nim ogniem nieugaszonym. Jest to istota upadła, która marzy o niewinności utraconej, bardziej melancholiczna, złamana, niż zła. Autorka zrywa z dotychczasowemi tradycyami. Nie jest to szatan Miltona, dumny i jednorodny w swej prostocie epicznej, ani też chytry, przebiegły i sarkastyczny Mefisto, jest to Lucyfer całkiem ludzki, trochę sentymentalny, ku któremu autorka czuje więcej sympatyi, niż ku człowiekowi: przewrotność ludzka stanowi przeszkodę odkupienia dyabła. Inaczej mówiąc, on gra rolę sumienia. Pomysł, bądź co bądź, oryginalny. Za każdym razem, gdy ma kusić nową ofiarę, Lucyfer uprzedza ją o niebezpieczeństwach, które jej grożą, o próżności sławy, bogactwa, szczęścia ziemskiego. Te ostrzeżenia, napół szczere, tem pewniej jednak zdobywają mu człowieka. Sumienie ma, zdaniem autora, bardzo niewielki wpływ na wolę i czyny ludzkie; jest ono głosem nie Boga, lecz dyabła. Jesteśmy tu bardzo dalecy od tradycyi Pisma Świętego. „Zbrodnie niezliczone ludzi, ich niewdzięczność, skąpstwo, zmysłowość, ich życie pełne bluźnierstwa i grzechu — oto są me boleści wciąż odnawiane. To mnie wiąże, trzyma i gnębi... Jestem bardziej nieszczęśliwy i godny pożałowania, niż istota najmniejsza; ona ma, być może, nadzieję; ja jej nie mam.“ Tak przemawia ten dyabeł, pojęty iście po kobiecemu.

Na tej kanwie autorka rozsnuła powieść romantyczną o pisarzu zdolnym lecz ubogim, którego nasz Lucyfer-Rimanes kusi, ostrzega przed pokusą, ale przyjęty przezeń, wyprowadza z biedy i stawia u szczytu bogactwa i wpływu. Pani Corelli wylewa tu potoki żółci na arystokracyę, prasę i kler.

„Nie jestem bynajmniej chrześcianinem — powiada Rimanes — nie mam tłustej prebendy, którąby mnie zmuszała do kłamania w tym względzie. Niema zresztą na ziemi ani jednego chrześcianina. Był wprawdzie jeden, ale i ten został ukrzyżowany.“

Namiętne napaści na krytyków i prasę noszą charakter nużąco osobisty.

Pewnej nocy Rimanes wychodził w towarzystwie kilku wesołych przyjaciół z klubu. Spotkali po drodze młodą, zapłakaną dziewczynę. Jeden z młodych literatów zaczepił ją. „Zostaw ją w spokoju“ — zawołał surowo Rimanes i wsunął jej nieznacznie w dłoń kilka sztuk złota. „Oby ci Bóg wynagrodził!“ — zawołała, płacząc. Rimanes zdjął kapelusz: „Dziękuję pani“ — rzekł wzruszony. Tego rodzaju sceny są częste. Skąd u autorki bierze się ta sympatya do dyabła, trudno powiedzieć. Nie jest to zwykła chęć sensacyi, gdyż opiera się na rozmyślaniach filozoficznych dość głębokich, ale raczej wyraz współczucia ku nieszczęśliwym. Taż sama tendencya istnieje w innej powieści autorki: „Barabbas,“ gdzie stara się zrehabilitować Judasza. W tych próbach pozostaje chrześcianką, prowadzi wojnę zażartą z materyalizmem i zepsuciem.

Wszystko to nie jest bynajmniej banalne i dlatego nadaje się raczej do opracowania poetyckiego, niż do powieściowego. Gadatliwość i rozwlekłość są wadami wszystkich autorek angielskich: i pani Ward i pani Deland nie są od nich wolne. U tych pań wszakże nie są one tak rażące, gdyż pomysły ich noszą najczęściej charakter realny, natomiast zasługą p. Corelli jest niezwykłość, oryginalność pomysłów i dlatego właśnie brak należycie zastosowanej formy daleko żywiej czuć się daje. Wolno przypuszczać, iż powieść, o ile nie chodzi o literaturę uliczną, znajduje się na drodze upadku i bankructwa. O ile powieść realistyczna rościła pretensye do metod naukowych, zastąpią ją po części — przynajmniej dla ludzi ukształconych — psychologia i socyologia, zwłaszcza iż one nie są jeszcze naukami ścisłemi. Niektórzy nawet poważnie się zapytują, czy literatura wogóle ma jeszcze po za sferą klas niższych i średnich jakąkolwiekbądź racyę bytu: i nie jest to bynajmniej czcze zapytanie. Wobec tego jedyna rzecz, która jeszcze literaturę, w kołach ukształconych, uratować może, to piękno formy, wyszukanie wrażeń, powrót do metod poetyckich. W takim razie literatura nietylko wstępować nie będzie w spółzawodnictwo z nauką, w którem na pewno będzie pobitą, ale i owszem, wyprzedzi swój czas i przygotuje formy wyższego pożycia. Jeżeli prawdą jest, iż ludzie chętniej i bardziej wydajnie pracują przy dźwiękach muzyki, jeżeli nic zdrożnego niema w tem, aby praca przerywana była zwłokami odpoczynku i tańców— rozumie się nie walców i polek, lecz chociażby nawet żywiołowych chłopskich obertasów i mazurów, przy zachodzie słońca gdzieś na łące pośród niezgrabnych jabłoni, pokrytych kwieciem, które wyglądają jak wiejskie panny młode — to jest rzeczą bardzo możliwą, iż życie powróci od swych form szarych i zróżniczkowanych, do pełnych i wszechstronniejszych, tj. bardziej poetycznych. Gdy człowiek trochę wolniejszy od pracy będzie mógł się rozejrzeć po tej cudownej, tajemniczej naturze, pokocha ją miłością tak głęboką i namiętną, iż nie dziwiłbym się, gdyby powrócił do stanów uwielbienia jej pierwotnego. Zaprzężeni w jarzmo społeczne, nie spostrzegamy, iż każda chwila zbliża nas do śmierci, że ten boski płomień życia z każdą chwilą słabnie, a wraz z nim wszystkie barwy natury płowieją. Być może, iż ludzie, aby wymknąć się ze szponów konieczności, zechcą spłonąć w jakimś wielkim, żywiołowym szale tanecznym. Niekoniecznie radość tam przewidywać można, ale raczej rozkoszny zachód bogów, pełen melancholii, jak apoteozy konających światów czarownego Tiepola, gdyż boleść bytu, szlachetna boleść myśli rozwija się dopiero u ras wyższych, gdy dochodzą do pełni rozkwitu. Bądź co bądź, przyszłość należy do poezyi, do muzyki, do tańca. Niema nic ohydniejszego i plugawszego, niż taniec obecny lalek salonowych i pomywaczek z baletu, ale niema zarazem nic rozkoszniejszego i bardziej poetyckiego, niż taniec pijany ludzi pierwotnych: jest to wyraz niemego zachwytu naturą, uwielbiania wszechświata, chęć żywiołowego zjednoczenia się z rytmem wiatrów, drzew, obłoków i morza *).

Przyszłość zrehabilituje ten taniec, a literaturę sprowadzi do tego, czem być powinna — do poezyi. Prawdopodobnie po tej rozpuście słowa, którą wiek ten parlamentaryzmu wytworzył, ludzkość stanie się nador małomówną. Przewidywać można czas, gdy sprawy społeczne zarządzane będą nie gadulstwem Izb, lecz wiedzą specyalistów uczonych, gdy nauka używać będzie raczej symbolów algebraicznych, niż wyrazów, gdy ludzie raczej skupiać będą i uprawiać w sobie uczucia, niż osłabiać upustem słów — wówczas słowo publiczne z konieczności mieć będzie charakter artystyczny i poetyczny, a ta gwara ohydna, która stanowi obecną literaturę realistyczną, sprowadzoną będzie do użytku prywatnego i nie wystąpi po za ściany domów.

Tymczasem jesteśmy jeszcze tak dalecy od tego stanu! Gdyby pani Corelli ze swych dwutomowych powieści, które ledwie przerzucić można, zrobiła utwory bardziej zwięzłe i artystyczne, nie rozeszłyby się pewno w setkach tysięcy egzemplarzy, ale miałyby wartość trwałą.

Natomiast z innej powieści autorki: „A Romance of two Worlds,“ należałoby zrobić... balet. Jest to modne w tych czasach zastosowanie hypnotyzmu do litera-

*) Ponieważ ten pogląd autora zbliża się do twierdzeń wypowiedzianych niedawno w *Prawdzie* przez p. L. K., więc winniśmy zaznaczyć, że artykuł ten otrzymaliśmy dawniej i że obaj autorowie wypowiedzieli podobne zdania niezależnie. *Red.*

tury. Autorka posiada zresztą i pod tym względem teoryę oryginalną:

„Każda istota ludzka zaopatrzona jest wewnętrznie i zewnętrznie w pewną sumę elektryczności, tak potrzebną do życia, jak krew lub powietrze. Wewnętrznie jest to zarodek duszy, który wola może uprawiać albo też zapuścić. Jest on niezniszczalny; zapuszczony, pozostaje zarodkiem i po rozpadnięciu się ciała szuka gdzieindziej warunków dogodnych dla swego rozwoju. Jeżeli natomiast wola wytrwała i stanowcza kieruje jego wzrostem, staje się istotą duchową, dla której po śmierci powłoki cielesnej rozpoczyna się nowe istnienie, piękne i nieokreślone. Zewnętrznie elektryczność ta poddaje nas prawom stałym, na które wola nasza nie ma żadnego wpływu. Każdy z nas otoczony jest niewidocznym pierścieniem elektrycznym. Nieraz pierścienie elektryczne dwu osób łączą się i tworzą jeden, w wypadku dwu dusz zupełnie sympatyzujących z sobą.“ Bywają jednak wypadki, iż pierścienie te, niezgodne, odpychają się— itd. Na tych cudactwach oparta jest powieść, którą autorka zdobyła sławę. Jest to prawdziwa rozpusta bogatej, ale źle skierowanej wyobraźni.

Dr. L. W.

Z SALONU TOW. ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH.

Polowania, „epizody wojenne,“ szkice, portrety, polowania, szkice, portrety, epizody, polowania itd. przez obie wielkie sale — oto treść tej największej i (w teoryi) najpierwszej z naszych wystaw. Jest to stała cecha, niejako bezbarwne tło, na którem tem silniej odbijają się zawieszane od czasu do czasu dzieła tych ludzi prawdziwego talentu, którzy — najczęściej z za granicy ryzykują przysyłać do Warszawy obrazy przechodzące wartością towary robione na sprzedaż, tandetę artystyczną. Ryzyko jest rzeczywiście ogromne, bo u nas najbardziej są szanowane i największy popyt mają (po oleodrukach) obrazy (np. p. Ciechockiego) wylizane, wygładzone, wypomadowane i ckliwo sielanki lub polowania, gdzie smętny parobek modli się klęcząc, a za niego orze anioł, gdzie różowo-niebieska noc zimowa p. Klopfera (zresztą posiadająca bardzo udatne stopniowanie światła) odznacza się równiutkim, wyheblowanym i błyszczącym, jak posadzka salonowa, śniegiem i drzewami z waty, gdzie (u p. Weyberta) śnieg znowu przypomina kolorem rozlaną farbkę, a las posiada tyle barw rzucanych na chybił trafił, ile ich tylko można sobie wyobrazić. To też ogromną wdzięczność winni są wszyscy miłośnicy sztuk pięknych między innymi p. Chełmońskiemu za to, że nie zrażony lekceważeniem przez publiczność jego „szarych“ krajobrazów, których „monachijska szkoła nie warta jest oglądania wobec nowych kierunków sztuki,“ przysyła nam stale swoje przepyszne poranki i zachody słońca, gdzie odczucie natury i subtelność barw są nieporównane, jak równie p. Aleksandrowi Gierymskiemu za jego cztery motywy z Rothenburga, w których dał się poznać jako niedościgniony wirtuoz w wydobywaniu efektów światła i odległości. Na dzisiaj zajmę się samym tylko Gierymskim, gdyż te ostatnie cztery obrazy wybornie charakteryzują jego indywidualność.

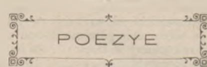
Już sam wybór tematów mówi bardzo wiele. Dwa z nich — to motywy kościelne, będące wyobrażeniem wrażenia ciszy i spokoju, dwa inne — to widoki ulic Rothenburga w świetle słonecznem. Ażeby z takich motywów stworzyć arcydzieło, trzeba na to być prawdziwie wielkim artystą, trzeba mieć także ten przedziwny dar panowania nad przedmiotem, który jest właściwy Gierymskiemu bardziej, niż jakiemukolwiek innemu artyście. Przyjrzyjmy się bliżej tym niezwykle zajmującym utworom.

Stoimy w jakimś średniowiecznym zakomórku kościelnym. Przed nami jakieś złocone postacie, jakieś inkrustacye w przeciwległej ścianie, świetnie, po malarsku wykonane, dalej w cieniu ambona i kawałek dalszych części kościoła, w głębi, z doskonałą perspektywą podłoga kościelna, składająca się z popękanych płyt kamiennych, wykonana niemal dotykalnie. Wszystko to jednak nie miałoby wielo wartości artystycznej wobec tego, że podobny efekt dałaby pierwsza lepsza fotografia — duszę obrazu dopiero stanowi mysz, tak, mysz, która przycupnęła sobie na kamiennej posadzce i dowodzi jawnie każdemu, kto ją dostrzeże, że w kościele panuje pustka i cisza grobowa. Kiedy tylko się ją zauważy, ogarnia nas wrażenie, o które autorowi chodziło — wrażenie zapomnienia, uroczystości i spokoju. Środek, jak widzimy, nader prosty i świetny w skutkach.

Drugi motyw kościelny sprowadza nas do sklepionej średniowiecznej bazyliki, w sam środek głównej nawy, pełnej pustych ławek. Na pierwszym planie stoi kolumna, a na niej prześliczna, naiwna, porosła mchem płaskorzeźba kobiety z założonemi na piersiach rękami i charakterystycznem pochyleniem na bok głowy, a nad nią napis gotyckiemi literami. Sklepienia, ławki, jakieś światło z okna za kolumnami — wszystko świetnie wykonane z niezwykłą subtelnością kolorytu, ale jak w poprzednim obrazie byłoby tylko połową wrażenia, które zawiera w sobie jedyna postać, siedząca na ławce przed wielkim ołtarzem. Widocznie weszła tutaj po drodze, idąc do miasta, gdyż postawiła obok siebie koszyk. Z pewnością kroki jej rozlegały się drażniąco po pustym kościele, wywierając uroczyste wrażenie na kobietę, gdyż siadłszy, pochyliła się zlekka, złożyła sztywno ręce na kolanach i w tej niewygodnej pozie najwidoczniej boi się poruszyć, bo każdo szurnięcie jej nogi rozległoby się tysiącznemi echami wśród kolumn korytarzy sklepionego kościoła. Znowu więc mamy wrażenie, wywołane nader prostymi środkami, tylko żeby takie proste środki odtworzyć po malarsku bez zarzutu, trzeba być mistrzem.

W dwóch następnych obrazach chodziło Gierymskiemu również nietylko o same nadzwyczaj charakterystyczne ulice Rothenburga, lecz w jednym o prześliczne światło słoneczne na wieży kościoła, pogrążonego w cieniu i o kontrast czystego błękitu, a w drugim o najróżnorodniejsze refleksy światła słonecznego, oświetlającego ulicę z boku, tak że jej połowa jest pogrążona w mroku. Refleksów tych niepodobna jest opisać — trzeba je widzieć. Trzeba widzieć te iskry migotliwe, które sypią się z żelaznej barjery, oddzielającej ulicę wyższą od zbiegającej w dół, tę subtelność odcieni fioletu na domach i na bruku pogrążonym w cieniu, aby ocenić niesłychane mistrzowstwo, jakiego dał dowód Gierymski na tym obrazie. A co za przepyszny błękit nieba na poprzedzającym! Czystość jego jest niezrównana, kolor ani za ciemny, ani za jasny, stopniowanie niezwykle subtelne. Niebo na drugim jest jeszcze piękniejsze. Widać na niem, że słońce jest bardzo blisko, tuż, tkwi za domami, bo błękit wśród wspaniale zrobionych obłoczków ma odcień fioletowy i bardzo jasny, nie tak wszakże, żeby obłoki nie były odeń znacznie jaśniejsze. Ciemne dachy domów i wielka wieża na ostatnim planie umieszczone są w cieniu tak, że tworzą doskonały kontrast dla nieba, które bez uszczerbku koloru może mieć natężenie światła dość silne, a jednak dostatecznie ciemne dla uwydatnienia oświetlonych obłoczków. Największem jednak zdumieniem przejmuje cały sposób uwydatniania barw światła w najdrobniejszych szczegółach obrazu. Ogólnie biorąc, jest to ten sam sposób, o którym tylko co wspominałem, szczegóły są jednak znacznie trudniejsze, niż całe ułożenie kontrastu dachu z chmurami. Weźmy np. to światło na wieży, światło pomarańczowe słońca chylącego się ku zachodowi. Każdy położyłby tu jeden kolor i dosyć. Gierymski jednak pooddzielał oświetlenia bardziej wystających cegieł od niektórych zaułków ocienionych, nakładł farby jasno-żółto-zielonawej, obok czerwone plamy umieścił i wyszło zdala światło niezwykle silne i niezwykle subtelnej barwy tynku i cegły, oświetlonej słońcem. To samo na białym murze w drugim obrazie. Jasne są tutaj same chropawe otynkowania, reszta ciemniejsza. Jest to poprostu malowanie „jak się widzi,“ którego uczą nas jeszcze w szkołach rysunkowych, ale o którem zapominają ci, co lubią chlapać, nie malować i którym zdaje się, że można przestać się kształcić, będąc już renomowanym artystą. Gierymski widać że nie zaniedbał ręki i oka — i został wielkim. Prosta droga — a jakże rzadko nią idą!

J. K.



OSTATNIE CHWILE

Kiedy topolę strawiły lata
I wiosną ścięto ją na paliwo,
Każda jej kłoda bura, sękata
Trzęsła wnet bujną, zieloną grzywą,
Snując swobodnie ze siebie listki,
Aż wyniszczyła się z mocy wszystkiej.

W smętnej zadumie patrzyłam na nie:
Gdybyż i człowiek tak zdołał zawsze
Z siebie na wichrów rzucić rozwianie
Bóle swej duszy tajne, najkrwawsze,
Streszczone w grzmiące, ostatnie słowa,
Gdy go dłoń śmierci dławi surowa.

Niejeden kona z sercem zatrutem:
Żal do najbliższych, co wre w nim jeszcze,
Na jaw nie wyjdzie ostrym wyrzutem,
Choć gra mu w tętnie, w krtani szeleszcze...
A człowiek milczy... Krnąbrna, zacięta
Własna mu duma żywy głos pęta.

Jego twarz martwa spokoju nie ma;
Zawrzeć się nie da stęgła powieka,
W otwartych ustach tkwi skarga niema,
A wzdęte łono wybuchu czeka —
Zda się—że nie chce pod ciężką ziemię
Brać niezrzucone swych uczuć brzemię.

El—ka.

O PRAWDĘ.

Od autora głośnej dziś broszury politycznej odbieramy list następujący:

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście z Petersburga p. Krzyżanowskiego o mojej „Spowiedzi politycznej“ są niedokładności, dotyczące tak mnie osobiście, jako też owej rozprawki, więc tuszę sobie, że Szanowny Pan zechce dać miejsce niniejszemu sprostowaniu.

Nie mam zaszczytu być „pisarzem,“ jestem tylko dziennikarzem, ściśle zaś mówiąc, sprawozdawcą przeważnie politycznym, piszącym nie w jednym tylko języku rosyjskim, lecz w czterech.

Kwestya polska nie jest moim „ulubionym przedmiotem,“ a więc czemś w rodzaju sportu, do którego najbardziej się wciągnąłem, jeno sprawą interesującą mię ani więcej, ani też mniej, niż każdego „nieodpolszczonego“ Polaka, co nie jest analfabetą.

Nie pretendując do dokładnej znajomości całej literatury broszurowej i niebroszurowej, poświęconej tej kwestyi, nie wiem, czy dotknąłem jej „w taki sposób, w jaki dotąd nikt z publicystów nie kusił się jej przedstawić.“ Gdyby atoli rzecz tak się miała istotnie, nie rozpaczałbym zbyt z tego powodu, albowiem znalazłbym pocieszyciela w zacnym ś. p. Joachimie Lelewelu, który w zestawieniu swem jędora z lwem pozostawił w spuściźnie doskonały balsam dla wszystkich niepodążających utartym gościńcem.

Natomiast w prawdziwą rozpacz wprawia mię okoliczność, iż wszystkie czasopisma polskie poinformowały swoich czytelników o treści mojej broszury na podstawie sprawozdania *Nowego Wremeni*, arcyniedokładnego. Petersburski korespondent *Prawdy* postąpił tak samo; gorzej nawet, albowiem w sprawozdaniu nie odróżnił tego, co *Now. Wr.* o mnie mówi, od myśli z mojej broszury i włożył mi w usta oświadczenie, iż zajmuję się *pojednaniem* rosyjsko-polskiem, następnie zaś podał za *dzisiejsze „rojenia“ moje* rzeczy w części przesnute w głowie studenta z przed wielu laty, w części zaś ,wskazane jako możliwe w przyszłości, bo na słusznym, jak mi się zdaje, wykładzie C. de Lavelaye oparte, a więc i godne, aby nad niemi zastanowili się ludzie rządu z tej racyi, iż *gouverner c'est prevoir*. . ewentualności wszelkiego rodzaju.

Jakkolwiek nie poczuwam się do takiej skromności, abym w wystąpieniach mych publicystycznych za święty obowiązek dla siebie uważał z „jędorami“ wciąż się wadzić, niemniej nie porywam się na tak wielką misyę, jak pojednanie dwóch narodów, które ani delegatów pojednawczych jakoś jeszcze nie wyznaczyły, ani mię na godność superarbitra nie wyniosły.

Wziąłem asumpt do napisania broszury z „Listu“ jakiegoś „szlachcica polskiego,“ który namawiał publicystów rosyjskich, aby Białorusinów i Małorusinów pozostawili kulturze polskiej, oraz „Z nad brzegów Wisły“ przez niejakiego „barona Ondit“ przesłanej do Petersburga rady, aby zruszczyć Polaków w Królestwie przez wydawanie w Warszawie kilku przeglądów i dzienników w języku rosyjskim. Wiedząc, iż naiwność owego „szlachcica,“ jako też owego „barona“ nie jest skarbem duchowym, wyłącznie do nich należącym, pokusiłem się w „Spowiedzi,“ którą jednocześnie po polsku i po rosyjsku wydać zamierzałem (nie przyszło to do skutku z przyczyn nieprzewidzianych), o wyjaśnienie pewnych zasadniczych nieporozumień, zachodzących w stosunkach społecznych polsko rosyjskich.

Upoważnienie do tego zaczerpnąłem z fachowego, tak teoretycznego, jako też praktycznego wdrożenia się w traktowanie spraw z dziedziny stosunków narodowościowych.

I zadowolę się całkowicie, skoro choć kilku ludzi dobrej woli w Polsce a w Rosyi *zmodernizuje* nieco swe przekonania po odczytaniu mojej rozprawki.

D. Bagnicki.

Petersburg, 30 czerwca.

W DALI.

Mińsk. Przy miejscowem Towarzystwie rolniczem od pół roku istnieje syndykat handlowy, który rozwija się bardzo pomyślnie. Nabył on skład maszyn i narzędzi, istniejący dotychczas pod firmą Towarzystwa. Przedsiębiorstwo to dotąd dawało znaczne zyski; akcyonaryusze mieli po 13% dywidendy. Dowodzi to, że popyt na maszyny i narzędzia rolnicze jest wielki. Zarząd syndykatu obecnie po nabyciu składu ma poprzestawać na mniejszym procencie zysków. Usługi syndykatu już są widoczne. Za jego pośrednictwem ziemianie dotąd sprzedali 3,000 pudów wełny do Warszawy, za co pośrednik otrzyma niezły zysk, 1,000 rs. Obecnie toczą się układy o sprzedaż trzody chlewnej, masła i krochmalu. Dla ułatwienia działalności handlowej w okolicach dalszych, postanowiono założyć oddziały syndykatów. Pierwsze powstaną w Pińsku i Nowogródku. Obecnie syndykat liczy 164 członków.

Odesa. Doroczne sprawozdanie Towarzystwa dobroczynności zaznacza stan dość pomyślny w stosunku do lat ubiegłych. Instytucya ta utrzymuje bardzo pożyteczną jadalnię dla dzieci ubogich i przytułek czasowy dla chłopców, uczących się rzemiosł. Nadto, udziela ubogim zapomogi w gotówce, węglach, chlebie, odzieży, lekarstwach, poradach lekarskich itd. P. Floryan Różycki ofiarował na budowę domu dla jadalni dziecięcej 8,800 rs. Suma ta wraz z odsetkami od czasu jej ofiarowania wynosi obecnie 10,000 rs. Budowa domu wkrótce się rozpocznie. Towarzystwo postanowiło urządzić „dom pracy“ dla ludzi poszukujących zarobku. Wybory tegoroczne dały następujący rezultat: Powołano ponownie na członków zarządu pp.: Władysława Janiszowskiego, Alberta hr. Ścibor-Marchockiego i Aleksego Wassala; na członków komitetu rewizyjnego pp.: Ludwika Gerri, Michała Gilewicza i Leona Kossowskiego. Prezesem zarządu został Ludgard hr. Grocholski, pełniący ten obowiązek w latach 1885—1891; kasyerem Albert hr. Ścibor-Marchocki, sekretarzem p. Juliusz Ławiński.

Woroneż. Liczba Polaków z każdym rokiem wzrasta. Dziś już dochodzi do tysiąca. Przedstawicielami inteligencyi są inżenierowie, lekarze i sądownicy. Znaczną większość stanowi proletaryat, o którym myśli jedynie miejscowe Towarzystwo dobroczynności, istniejące dopiero od dwóch lat. Sprawozdanie wykazuje, iż od 1 stycznia 1896 r. do 1 stycznia 1897 r. członków było 96. Zarząd pod przewodnictwem p. Wandy Radwanowej składają pp.: Juchniewicz, Jałowiecki, Kajzer, Proniewicz, Nortowski, Koszański, Muraszko, Czarnota-Bojarski i Dąbrowski. W roku sprawozdawczym Towarzystwo miało dochodu rs. 1.518 kop. 14, z czego wydało rs. 814 kop. 66, remanent zatem na r. b. wynosi rs. 703 kop. 48. Sprawozdanie zaznacza z ubolewaniem zmniejszanie się liczby członków, a tem samem dochodów stałych. Przyczyny tego stanu rzeczy tkwią w niezaradności zarządu, który nie umie zainteresować sfer szerszych celami swej działalności. — W Woroneżu istnieje Towarzystwo muzyczne, którego dyrektor artystyczny, p. Zygmunt Zaremba, zdołał w krótkim czasie zebrać i zorganizować bardzo dobrą orkiestrę amatorską, a w sezonie zimowym urządził dwanaście poranków i wieczorów symfonicznych.

Na pomnik Mickiewicza:

	rs.	k.
Zambrzycki Władysław z Oster	5	—
W. Z.	10	—
Józef Wierzbowicz z Kamionki (gub. Grodzieńska)	5	—
A. L. z Woroneża	5	—
Elżunia z Tyraspola	1	—
Zofia i Paulina Chruckie z Mohylewa nad Dnieprem	2	—
Cezary B.	3	—
Z Dorohowicy (g. Mińska):		
Michalina Mańkowska	3	—
Wacław Trzeszczkowski	5	—
Adam M—ski	5	—
Anna Rogalewiczówna	—	20
Zośka Ściepurzanka	—	45
Hela Ściepurzanka	—	35
Fabian Bernatowicz	—	10
Sergiusz Woloch	—	10
Stach Jarmoliński	—	28
Kuba Maluszycki	—	23
Zośka, Marylka, Józik i Bazylek Wołochowie	—	29
Razem rs.	46	—
Z poprzedniemi „	550	50
Razem rs.	596	50

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Rozporządzenie ministeryum komunikacyj zabrania utrzymującym bufety na kolejach sprzedawać spirytualij przejeżdżającym wychowańcom wojskowych zakładów naukowych, nie wyłączając i junkrów.

— W departamencie lekarskim utworzono komisyę do opracowania jednostajnej nomenklatury chorób.

— Instrukcya, określająca obowiązki służbowe telegrafistów i telegrafistek rządowych, zabrania tym ostatnim wstępować w związki małżeńskie z osobami nieurzędującemi w tem samem biurze. W okręgu warszawskim władze obostrzyły ten przepis, bezwarunkowo zakazując telegrafistkom wychodzenia za mąż nawet za kolegów biurowych. Dyrektor departamentu poczt i telegrafów podczas ostatniego pobytu w Warszawie wyjaśnił bezzasadność takiego rygoru, a wskutek tego obecnie oświadczono pracownicom telegrafu, że nadal, bez obawy utraty posady, mogą wchodzić w związki małżeńskie ze swymi kolegami. (*Kur. Warsz.*).

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnej pomocy rękodzielników i kupców w Lublinie.

— Przepisy o dozorze nad fabrykami i stosunkami robotniczymi od d. 13 lipca r. b. mają obowiązywać także w guberniach: Kaliskiej, Kieleckiej, Łomżyńskiej, Lubelskiej, Płockiej, Radomskiej, Suwalskiej i Siedleckiej.

— Biblioteki ludowe tudzież szkół niższych mogą posiadać książki, zatwierdzone w wykazach komitetu naukowego. Minister oświaty wyjaśnił, że wydawnictwa techniczne i specyalne wolne są od tego zastrzeżenia.

— Ministeryum komunikacyj otrzymało do zatwierdzenia projekt jednej z kolei prywatnych ubezpieczenia pracowników od wypadków, tudzież „na dożycie,“ z wypłatą emerytury za 25-letnią służbę.

— Senat rządzący wyjaśnił, że Żydom, posiadającym stopień prowizora, wolno mieszkać we wszystkich miejscowościach państwa.

Szkoły. *Kuryer Warsz.* donosi, iż czterdziestu kilku studentów Instytutu rolniczo-leśnego w Nowej Aleksandryi z profesorami swymi na czele udało się w tych dniach na wycieczkę naukową po kraju, wyłącznie w celu badań geologicznych. Głównym punktem wycieczki są okręgi górnicze. Studenci zatrzymają się wszakże po drodze w Olkuszu, Ojcowie i innych miejscowościach, przedstawiających materyał podatny do spostrzeżeń naukowych.

— Wszyscy kończący uniwersytet będą mieli prawo nosić znaczki specyalne.

— Po wakacyach w gimnazyum męzkiem w Radomiu otwarty będzie oddział równoległy klasy pierwszej.

— Uzyskano pozwolenie na budowę nowego gmachu w Łodzi dla pomieszczenia gimnazyum żeńskiego.

— W Zgierzu powstanie szkoła handlowa.

— W ministeryum oświaty poruszono obecnie projekt, ażeby wykłady i egzaminy we wszystkich niższych i średnich zakładach naukowych rządowych kończyły się z d. 13 maja, a na nowo rozpoczynały się nie wcześniej, niż 13 września.

— W szkołach kolejowych technicznych w Wilnie i Chełmie postanowiono urządzić dla uczniów wspólne pomieszczenie.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, że ponieważ kwalifikacye i działalność pedagogiczna nauczycieli nadetatowych i pomocników nauczycieli szkół miejskich odpowiadają kwalifikacyom nauczycieli etatowych, więc osoby te, opuszczające służbę, mają prawo do otrzymania świadectwa nauczyciela domowego bez składania egzaminu.

Prasa. Główny zarząd prasy zawiadamia, że redaktor *Gazety Świątecznej*, p. Konrad Prószyński, otrzymał pozwolenie rozsyłania bezpłatnie prenumeratorom: nasion, narzędzi i naczyń rolniczych, oraz że dr. Bolesław Dzierżawski otrzymał koncesyę na wydawnictwo miesięcznika p. t. *Przegląd Dentystyczny*.

— Wydawnictwo dziennika łotyskiego *Deenaslapa*, wychodzącego w Rydze, zawieszono na osiem miesięcy.

Wystawy i zjazdy. W Kijowie d. 13 b. m. otwarta będzie wystawa przemysłowo-rolnicza. Zamieścimy o niej osobny artykuł, gdy będzie już całkowicie urządzona.

— W maju r. p. odbędzie się w Poznaniu VIII-my zjazd lekarzy i przyrodników polskich, podczas którego urządzona będzie wystawa hygieniczno-lekarska i dydaktyczno-przyrodnicza.

Dobroczynność. Rada dobroczynna ubogich cyrkułu XI postanowiła otworzyć swoim kosztem salę zajęć dla ubogich i bezdomnych dzieci Powiśla, przy ul. Dobrej w Warszawie. Znajdzie tam pomieszczenie 50 dzieci.

Gospodarka miejska. Komitet techniczny ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdził projekt budowy tramwaju elektrycznego w Łodzi, opracowany przez inż. Weisblatta.

— Według zapewnień *Now. Wr.*, Kijów będzie pierwszem na kuli ziemskiej miastem, zaopatrywanem w wodę przy pomocy studzien artezyjskich elektrycznych. Roboty są już prowadzone pod kierunkiem inżeniera Woysława, według jego planów. Oblicza on, iż elektromotory dostarczać będą dziennie półtora miliona wiader wody.

Wypadki. Z Węgier donoszą o niebywałych burzach, które niszczą zboża.

— We Francyi południowej wylewy poczyniły znaczne spustoszenia. W Szwajcaryi również wylewy wiele szkód wyrządziły.

— W Albanii, skutkiem trzęsienia ziemi mieszkańcy obozują w polu.

Zmarli Henryk Meilhac, w Paryżu, znany dramatopisarz. Pisywał często do współki, głównie z Halévym.

— Jan Nepomucen Sadowski, w Krakowie; badacz pierwotnych dziejów Słowiańszczyzny zachodniej, autor znanego dzieła p. t. „Drogi handlowe greckie i rzymskie przez porzecza Odry, Wisły, Niemna do Baltyku."

Odpowiedzi Redakcyi.

A. L. Z zasady jesteśmy przeciwnikami wszelkich naśladowań, bo literatura nie powinna być mennicą, wyrabiającą twory podobne, lecz galeryą unikatów. Po za tem wiersze Pańskie dość zręcznie naśladują pieśni Heinego.

Prawdzicowi. Nr. 38 z r. 1890.

Prenumeratorce. Dziękujemy za przysłane, bardzo ciekawe fotografie. Tak, są to wielkie charaktery i może czasem wyrastające samorodnie. Ale chociażby nie było pochodzenia, jest pokrewieństwo. Co do drugiej kwestyi, Pani przypuszcza, co by być mogło, p. W. zaś mówi, jak jest. Zresztą nie mamy nic do sprostowania w rozumnych i szlachetnych słowach Pani.

SPROSTOWANIE. W nr. poprzednim na str. 315, w napisie pod medalionem Chopina w Reinerz czytać należy: w wierszu 5 zamiast „testifato" — „testificato"; w w. 9 zam. „decurienum" — „decurionum."

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 27 Іюня 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.